Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 27 (1763) 5–11 lipca 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Pożegnanie z Waldkiem

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223409 27

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 08b6638fa7

WOJNA DOMOWA

„Gazeta Wyborcza" opublikowała list znaleziony podczas przeszukania domu Marcina Romanowskiego – aktualnie posła Suwerennej Polski, a w Złotym Wieku PiS dysponenta Funduszu Sprawiedliwości. W liście Kaczyński wzywa Ziobrę do „natychmiastowego zakazania" ziobrystom robienia sobie kampanii z FS i zakazania Romanowskiemu szastania kasą Funduszu w kampanii; przestrzega też, że PKW może ich wszystkich złapać za dupę i odebrać subwencje. Rozczulająca jest pointa: „Zmuszony jestem też stwierdzić, że w razie niezastosowania się do sformułowanego w piśmie zalecenia, pełna odpowiedzialność polityczna, a najprawdopodobniej także w innych wymiarach, będzie spoczywała na Panu". Przez 35 lat istnienia tzw. wolnej Polski odpowiedzialność polityczna spoczęła dwa razy: w 2009 r., kiedy minister sprawiedliwości Zbigniew Ćwiąkalski miał dość współpracy z Donaldem Tuskiem i w 2022 r., kiedy kogoś trzeba było zrzucić z sań za burdel z Polskim Ładem i padło na ministra finansów Tadeusza Kościńskiego. Groźba jest nieprzesadna.

Jarosław Kaczyński nie wydaje się jednakowoż ubawiony ujawnieniem swojej dawnej korespondencji. Wprawdzie jeśli chodzi o „wszelkiego rodzaju zarzuty prawo-karne, które są tutaj formułowane" – prezes nie ma wątpliwości, że „powiedzieć bzdura to mało" i zainteresowanie obecnej władzy z wynika z faktu, że jej „nienawiść zalewa po prostu oczy" – ale jeśli chodzi o list, Prezes przyjął strategię Joe Bidena: „na dementa". Pytany o treść pisma – dość, przyznacie, istotnego – odpowiada nonszalancko: „Ja tego nie pamiętam, nie pamięta tego też minister Ziobro, natomiast, no, minister Romanowski twierdzi, że do niego taki list dotarł, więc zakładam, że może mnie tutaj po prostu pamięć zawodzi". A tak swoją drogą: jakim trzeba być idiotą, żeby trzymać taki list w domu, trzy miesiące po utracie władzy na rzecz politycznych wrogów? Zeżreć trzeba było, albo choć spalić i spuścić w kiblu. Cokolwiek przydarzy się Romanowskiemu – będzie to zasłużona kara za głupotę.

I jeszcze o rozliczeniach: powraca kwestia granatnika, którym komendant główny policji wywalił dziurę w suficie własnego gabinetu. Według opinii biegłych, granatnik musiał zostać odpalony przez naciśnięcie spustu, na szczęście sufit był relatywnie niewysoko i pocisk nie zdążył się uzbroić. Eksminister Błaszczak ironizuje: „Szkoda, że biegli tych ekspertyz nie przedstawili, wtedy kiedy sprawa żyła". Może ma to jakiś związek z faktem, że biegli od uzbrojenia, którzy zapewne potrzebują różnego rodzaju certyfikatów, nie chcieli podpaść urzędującemu komendantowi policji? Występ Błaszczaka skomentował ekspert od wszystkiego, poseł Trela: „Wychodzi na to, że tak jak każdy człowiek z nadania PiS-u, kolaboruje i kłamie". Panie Pośle: „konfabuluje". „Kolaboruje" to też nieładnie, ale ze zgoła przeciwnym wektorem. Dowcip z PRL nam się przypomniał. Wchodzi zomowiec do sklepu fotograficznego: – Poproszę episkopat. – Chyba epidiaskop? – To ja tu podejmuję diecezję! – Chyba decyzję? – Co mnie pani poucza, ja w szkole byłem prymasem.

W sejmiku małopolskim już pięć razy nie udało się wybrać marszałka, mimo iż wskazał go osobiście prezes Kaczyński, a PiS ma tam większość. Atmosfera robi się nerwowa, zwłaszcza, że kandydat Kaczyńskiego, Łukasz Kmita, ma w partii przeciwników, którzy obecnie są już zawieszeni, ale ciągle nie zostali zdyscyplinowani. Mimo iż na salę obrad wbił się osobiście marszałek Terlecki, który z galerii rzucał w stronę buntowników błyskotliwe riposty w stylu „sam jesteś troll". Mało tego, Kmita ma wąty do przewodniczącego sejmiku, który – trzeba trafu – jest ojcem prezydenta RP. „Panie Łukaszu, proszę nie robić wrażenia, że ja jestem przyczyną całej tej sytuacji, bo pan takie wrażenie po raz któryś robi" – skarcił Kmitę prof. Jan Duda z wysokości stolca przewodniczącego. I dodał: „Wyciekła do mediów informacja, że pan Łukasz chciał mnie zwolnić z funkcji przewodniczącego, he, he". Podzielamy rozbawienie Pana Profesora.

Do Warszawy przyjechał kanclerz Scholz z kawałkiem rządu i spotkał się z premierem Tuskiem – również z kawałkiem rządu, co ponoć jest przejawem wzajemnego poszanowania. Nie wszyscy są usatysfakcjonowani, albowiem kanclerz nie obiecał szmalu żyjącym jeszcze ofiarom okupacji. Ich nastrój wyraża w „Rzeczpospolitej" red. Chrabota, którego ojciec był jako dziecko wywieziony na roboty do Niemiec i kasa mu się należy, mimo iż nie ma na to papierów: „Czy brak papieru z nazistowską wroną unieważnia indywidualny wymiar historii, panie Olafie Scholz?". Na wspólnej konferencji z Scholzem, Tusk chwacko zdeklarował:„my sobie damy radę, my wydajemy 4 proc. na naszą obronę i ja nie chcę, żeby Niemcy kupowały nam czołgi". To akurat wydaje się dobrą wiadomością – przynajmniej z punktu widzenia 40 tys. żyjących jeszcze ofiar II wojny światowej, którym niemieckie czołgi na polskiej ziemi mogą kojarzyć się nienajlepiej.

Wicepremier rządu RP poleciał do Ameryki, gdzie spotkała się z nim osobiście zastępczyni doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta Bidena pani Anne Neuberger. Razem ustalili, że ruscy nas napadają cybernetycznie. „Polska jest na cybernetycznej zimnej wojnie z Rosją" – pochwalił się Krzysztof Gawkowski, dodając, że „Polska radzi sobie z rosyjskimi cyberatakami na infrastrukturę krytyczną, a jej służby są uważane przez USA za jedne z najlepszych na świecie". Gawkowski odpowiedział też na kluczowe pytanie, kogo bardziej kochasz, mamusię czy tatusia: „Stany Zjednoczone mają lepszy ogląd zagrożeń w tym obszarze dla Polski niż Unia Europejska. Unia ma świadomość, że rośnie liczba incydentów, ale nikt w Unii Europejskiej nie ma świadomości, że rośnie skokowo z dnia na dzień. Amerykanie mają tę świadomość".

I na koniec opowieść o chuligance (chuliganicy?). Jakieś wredne babsko, lat 53, urżnęło i wyrzuciło do śmieci wydziergane na szydełku kapturki, ozdabiające 70 wkurwiających żeliwnych słupków, oddzielających chodniki od jezdni na całym Żoliborzu. Akt wandalizmu uchwyciły kamery, straty wyceniono na 5000 zł, a jędzy grozi pięć lat więzienia. Sucz tłumaczy, że zdewastowała pogodną akcję aktywistów miejskich, bo kapturki jej się nie podobały. Musi sąsiadka prezesa.

AWŁ

Z URNY URBANA

6 lipca przypada 101. rocznica urodzin generała Wojciecha Jaruzelskiego. Z tej okazji przypominamy tekst Urbana z lipca 2012 r.

Jaruzelski niech żyje!

Jako były rzecznik generała Wojciecha Jaruzelskiego, czasem wypowiadający się też z upoważnienia generała Czesława Kiszczaka, chciałbym rządzących przeprosić w imieniu obu generałów za to, że żyją.

Władze III RP zmuszone były wszcząć procesy Jaruzelskiego i niektórych jego współpracowników. Prawica bowiem wołała, że twórcy stanu wojennego i mordercy Wujka nie mogą pozostać bezkarni. Prześladowani w PRL muszą uzyskać satysfakcję, a ogół pouczenie, co w polityce złe, a co dobre. Z tą myślą procesy się rozpoczęły. Nie miały skończyć się jednak w ogóle.

Uniewinnienie było wykluczone ze względów politycznych, zaś skazanie karkołomne – z prawnych. A przy tym też politycznie ryzykowne, gdyż połowa ludności odnosi się do generała Jaruzelskiego z szacunkiem oraz ze zrozumieniem do stanu wojennego.

Procesy ciągnęły się przez długie lata, przesłuchiwano setki świadków, licząc na to, że wiekowi oskarżeni umrą, ale na złość Tuskowi nie zechcieli.

W tej sytuacji władze w trakcie jednego tygodnia przerwały obie rozprawy Jaruzelskiego oraz Kiszczaka pod pretekstem nagłej troski o zdrowie podsądnych. Zlękły się bowiem tego, że generałowie dożyją końca najdłuższego procesu świata i trzeba będzie ich skazać, ośmieszając siebie, lub uwolnić, co jednych ośmieszy, a innych rozśmieszy. Władzom także groziło to, że po kilkunastu latach siedzenia na ławie oskarżonych generałowie umrą. I społeczeństwo powie, że rządzący zamęczyli procesami kozły ofiarne prawicowej mściwości.

Zanim ciąża oskarżeń rozeszła się po kościach, prawicowe władze zrobiły z sali sądowej dom przedpogrzebowy. Większość oskarżonych członków byłej Rady Państwa w trakcie procesu walnęła w kalendarz. Nadzieja władz, że generałowie podążą za swoimi figurantami, wręcz dodawała wigoru głównym oskarżonym.

Skazanie Jaruzelskiego, jak wspomniałem, wywołałoby publiczną wesołość, uratowałoby dychawiczny teraz program kabaretów, dałoby temat felietonistom i rysownikom. Pokazywano by na scenie, jak premier Jaruzelski przeciw sobie spiskuje, bo pragnie się obalić, do czego nie dochodzi, gdyż jako szef PZPR dostał naganę za niezwołanie zebrania plenarnego KC PZPR w sprawie zamiaru zawiązania bandy zbrojnej dla umocnienia partii i rządu.

Generał Jaruzelski naprawdę bowiem oskarżony był o przewodzenie bandzie zbrojnej dokonującej przestępstw. Tą bandą zbrojną były siły policyjne i armia PRL. Wojsko bez broni występuje zaś przecież tylko w formie jeńców.

Byłemu premierowi Jaruzelskiemu zarzucono, że kazał zwołać posiedzenie Rady Państwa zamiast sejmu, aby uchwalić prawa stanu wojennego. Wiadomo, że gdyby sejm zaczął uchwalać stan wojenny, cały kraj byłby o nim uprzedzony z góry, a więc operacja stałaby się niemożliwa lub krwawa przez reakcję Solidarności. Sądzono więc generała za uniknięcie bratobójczych starć czy wręcz wojny domowej.

Sąd zarzuca Jaruzelskiemu, że zrobił to samo, co uczynił prezydent USA i jego rząd. Wiedząc od Kuklińskiego, że nastąpi stan wojenny w Polsce, zachował te informacje w tajemnicy. Po to, żeby posunięcie Jaruzelskiego się udało, nie wywołując reakcji 10 milionów członków Solidarności.

Przy tym w sensie prawnym sąd sądził rzecz osądzoną. Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej, a potem sejm uchwaliły, że Jaruzelski działał w stanie wyższej konieczności wykluczającej odpowiedzialność prawną.

PiS olewa już teraz przerwanie procesu generałów za stan wojenny, pragnie bowiem widzieć ich na ławie oskarżonych wśród wszystkich uczestników Okrągłego Stołu, który – jak wiadomo – zaprzedał Polskę Rosji i Niemcom. Oczywiście trzeba by wyłączyć ze zbioru podsądnych Kaczyńskiego, który w Okrągłym Stole uczestniczył, a w to osierocone miejsce wsunąć Tuska, którego nie było przy stole.

Przerwanie generalskich procesów za stan wojenny to jednak nie koniec kłopotów Tuska i Komorowskiego z Jaruzelskim. Jeżeli Generał, co nie daj Boże, umrze wcześniej niż Tusk, premier będzie go musiał pochować. W grę wchodzi pogrzeb pierwszego prezydenta „wolnej Polski" nigdy za nic nieskazanego.

Czwarty prezydent RP chrapie sobie na Wawelu. Może pierwszemu zbudować kryptę na szczycie Pałacu Kultury? Może grobowiec na podworcu gmachu byłego KC PZPR albo prochy rozwiać nad polami bitew? Generał najniższej rangi – Petelicki – który przez 20 lat służył w SB, a od kilkunastu kręcił się w interesach, grzebany był z salwami, marszami, czołgami. Chyba więc dla Jaruzelskiego okręty muszą wyjść na ląd. Bez tej gwarancji obiecuję, że przeczeka Tuska. I pójdzie za trumną Donalda wesołym krokiem birbanta.

URBAN

TRYBUNA LUDZI

Który z polskich polityków nadawałby się na prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Facebook

Marcin Grochala: Powinien być inteligentny jak Kowalski, uczciwy jak Ziobro, prawdomówny jak Morawiecki, rodzinny jak Kurski, wykształcony jak Obajtek, przystojny jak Terlecki, oczywiście władać angielskim jak Duda. Jednym słowem – prezes.
Bartek Bialik: Mariusz Max Kolonko.
Sebastian Roots: Wyślijmy wszystkich!
Teresa Charzyńska: A ja uważam,że powinien pojechać Ziobro. Nikt tak jak on nie umie łamać prawa zgodnie z prawem.
Eugeniusz Rezmer: Oczywiście Jarosław Stany Zjednoczone Zbaw.
Maciej Dadej: Jędraszewski jest wolny.
Eugeniusz Rezmer: W Polsce nie ma polityków.
Maciej Dadej: Rydzyk, Biały Dom od razu zamieniłby na Fort Knox.
Jan Jerzyk: Bosak – Stany Zjednoczone są bardzo religijne, łącznie z salcesonoterapią.
Karol Zetem: Zapewne ktoś znający angielski, więc 90% odpada.
Andrzej Bazylczuk: Sasin – jak on by im zorganizował wybory, to z wrażenia USA wprowadziłyby monarchię.
Maciej Dadej: Agata, przynajmniej nie palnęłaby żadnej gafy.
Maciej Dadej: Duda, naczelny lingwista RP.
Konrad Czerski: Zdecydowanie Kononowicz.
Eugeniusz Rezmer: Dys, dys, ten, tego..
Stanisław Górny: Mateusz Morawiecki. Przepisałby wszystkie stany na żonę.
Marek Strzelczyk: Gosek z Beatą Szydło jako tłumaczką.
Adam Jaśkow: Kurski. Zna Stany, raz tam już był. Nie byłby gorszy od Trumpa. No i też ma drugą żonę.

Forum

Geordzi: Aż tak im źle życzycie?

PRASA ŚNIADANIOWA

- PiS poinformuje międzynarodowe instytucje o torturowaniu **ks. M. Olszewskiego.** Watykan ma doświadczenie w torturach.
- **Policjanci z Lwówka Śląskiego** aresztowali nastolatków, którzy ukradli z plebanii wino mszalne i bombki. Akurat nastolatkowie byliby bezpieczniejsi okradając inne miejsca.
- **Mariusz Błaszczak** powiedział, że list Jarosława Kaczyńskiego z 2019 r. to kapiszon. A taki był z niego kiedyś pistolecik.
- **Robert Makłowicz** będzie czytał nazwy przystanków w krakowskich autobusach i tramwajach. Przy Smoczej Jamie musi wspomnieć o potrawce z baraniny.
- **Sopot** ogłosił akcję „Stop golasom na ulicy". Przy okazji zakazalibyśmy wjazdu braciom Golec.
- **Radio Maryja** ostrzega o znacznym wzroście przestępstw w barach i restauracjach w RPA. Sytuacja w barach na Wyspach Papuzich pozostaje nieznana.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl 08b6638fa7

Waldek

Znowu naczelny nam odwalił kitę. To już trzecie osierocenie, które nas spotyka w ciągu niespełna dwóch lat: najpierw Urban, rok później Daniszewska, a teraz Kuchanny. A żeby ich szlag trafił.

Waldemar Kuchanny został naczelnym tygodnika „NIE" w chwili, kiedy naprawdę nie wiadomo było, co dalej. Urban był nie tylko twórcą, naczelnym i właścicielem „NIE" – był też, ponad wszelką wątpliwość, jego gwiazdą. Nagle znaleźliśmy się w sytuacji, w której nie byliśmy pewni, czy jesteśmy jeszcze komukolwiek potrzebni. Czy bez Urbana mamy rację bytu.

Waldek wziął to na klatę i nie pozwolił nam zwątpić. Ten mały, okrągły koleś uniósł na swoich niezbyt oddalonych od ziemi barkach nie tylko legendę Urbana, ale też całą histerię zespołu. Dzwonił, gadał – czasem godzinami – tłumaczył. Wymyślał tematy, planował gazetę, walczył o nas – czasem z nami – i nigdy się nie lękał.

W redakcji nosił ksywę „Carlos" – na cześć Ilicha Ramíreza Sáncheza, zawodowego zabójcy, kojarzonego z kultowym „Dniem Szakala". Koledzy go tak ochrzcili, bo ponoć był bezwzględny w realizowaniu swoich celów – a Waldek przyjął to z niejakim rozbawieniem, nazywając swój profil na Facebooku „Carlos Łazęga". Darł tam łacha z całego świata, ale szczególnie wyróżniał Kościół kat., tworząc postać przemądrzałego, bezczelnego, dobrze odżywionego „księdza Waldemara", bardzo popularnego na różnych ateistycznych spędach.

„Pan z wami" – zagaił swój wykład na Dniach Ateizmu 2020. „I z duchem twoim" – odpowiedziała sala. Żartobliwie, to prawda, ale karnie. „Kochani, jesteśmy na Dniach Ateizmu, wchodzi facet w czarnej sukience, mówi do was »Pan z wami«, a wy, kurwa, »I z duchem twoim«?! Widzicie tu jakiegoś ducha?". Przez salę przebiegł cokolwiek nerwowy rechot. „Dlaczego ludzie, którzy posługują się mózgiem, lub powinni to robić, jak widzą faceta w czarnej sukni, to od razu muszą przestać tego mózgu używać?" – dobił słuchaczy Waldek.

Intelektualna i – nie bójmy się tego słowa – ideowa bezkompromisowość Waldka szła w parze z jego wyrozumiałością redaktorską. Tygodnik „NIE" pod jego przywództwem publikował teksty wyrażające bardzo różne opinie. Jasne – o Kościele katolickim, PiSie i neoliberalnym kapitalizmie pisaliśmy mniej więcej to samo. Ale już o nowym rządzie, kondycji lewicy, czy też – szczególnie – zbrojeniu Ukrainy, wydatkach na wojsko i szansie na pokój, każdy z nas pisał to, co myślał. Pod Waldkowym kierownictwem, tygodnik „NIE" stał się sferą wolności słowa w czasie wojennego glajchszaltowania myśli. Trudno o większy redaktorski komplement.

Na różnych social mediach, obok słów wsparcia i współczucia – za które bardzo dziękujemy – od paru dni pojawiają się opinie: „to już koniec »NIE«, tygodnik tego nie przeżyje, pora się zwijać".

Niedoczekanie, skurwysyny.

REDAKCJA

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Pożegnanie Waldka odbędzie się we wtorek 9 lipca o godz. 10 w domu pogrzebowym na warszawskich Powązkach Wojskowych. Zamiast kwiatów bliscy proszą o datki na hospicjum, które opiekowało się Waldkiem w ostatnich miesiącach. Wolontariusz z puszką będzie na miejscu.

Mój przyjaciel Salman Rushdie

Tekst z 2022 r.

Dla wszystkich, który nie mieli zajebistego przywileju poznać Waldka: oto on. W całej swojej drwiącej, absurdalnej, autoironicznej krasie.

Był początek 1989 r. Na prośbę przyjaciela zająłem się pilotowaniem wydania jego tomiku poezji w tzw. drugim obiegu. Miałem nawiązać kontakt z wydawcą. Nawiązałem. Wydawcą był Tadeusz Adamski. Postać w Trójmieście niegdyś znana, ale budząca kontrowersje. Dla mnie wówczas zupełnie nowo poznany człowiek. Wygadany, miły, dowcipny. Zakolegowaliśmy się.

W tym czasie trwały przygotowania do obrad Okrągłego Stołu. Podziemnym wydawnictwom zaczęto pobłażać. Od początku 1989 r. – na rok przed reformami Balcerowicza – działała dająca znaczne swobody ustawa o działalności gospodarczej.

Tadeusz zaszczepił mnie pomysłem, abym przyłączył się do założenia oficjalnego wydawnictwa, które będzie wydawać z jednej strony ambitną literaturę, a z drugiej sensację, która będzie finansowała nasze ambicje wydawniczo-literackie.

Nasza grupka założycielska była dość kuriozalna. Tadeusz Adamski, który Bóg wie czym się zajmował; młody Anglik, jego wspólnik, który nazywał się Richard Wojtak, miał więc chyba jakieś polskie korzenie, choć polskiego nie znał ni w ząb, ale miał na to przedsięwzięcie wyłożyć kasę; jakiś człowiek, ponoć doktor filozofii, bardzo gruby, w okularach ze szkłami jak denka od butelek, z jednej strony inteligentny, bystry, dowcipny, z drugiej nieustannie wtrącający seksualne i wulgarne dowcipy; plus ja, student polonistyki na dziekance, który zaczął pisać pierwsze teksty dziennikarskie do powstałej wówczas pierwszej niezależnej „Gazety Gdańskiej". Do grupy miał też należeć prof. Karol Toeplitz, filozof, nauczyciel akademicki, przede wszystkim zaś tłumacz Sørena Kierkegaarda. Jednak na naszych spotkaniach Toeplitza nigdy nie było, ostatecznie więc nie wiem, czy Adamski po prostu nie podbijał bębenka. Potem dołączyły do nas jeszcze dwa chłopaki, które zajmowały się wcześniej pokątnym handlem oraz sprzedażą książek na targowiskach, tacy bukiniści PRL-u. W odróżnieniu ode mnie byli oblatani w literaturze sensacyjnej, science fiction i fantasy. Mnie takie nazwiska jak Robert Ludlum czy Graham Masterton wtedy niewiele mówiły.

W naszym garażu

Zanim wydawnictwo powstało, Adamski wynajął pawilon w Brzeźnie (peryferyjna dzielnica Gdańska) po sklepie mięsnym, który jeździliśmy adaptować na potrzeby naszego biura i siedziby wydawnictwa, ale także na księgarnię. Adamski wymyślił, że zanim zaczniemy sami wydawać, będziemy sprzedawać książki innych. Już działał Amber z książkami Fredericka Forsytha, Roberta Ludluma, Clive'a Cusslera i Johna Grishama.

Tadeusz wymyślił także, że powinniśmy mieć budki-kioski z książkami. Najlepiej na peronach dworców PKP. Zabrał mnie na rozmowę z jakimś ważnym dyrektorem w Północnej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych. Przed wejściem przypiął sobie i kazał mnie przypiąć do swetra znaczek Solidarności.

Gdy usiedliśmy w gabinecie i wjechała sypana kawa w szklankach, Adamski zaczął nawijać. Przede wszystkim przedstawił mnie jako uznanego dziennikarza. Ciągle mówiąc o mnie lub do mnie, używał zwrotu „pan redaktor". Bez mrugnięcia okiem sprzedał kit, że jestem najbliższym kumplem Bogdana Borusewicza, o którym wiedziałem tyle, że jest na świecie, że jest z podziemia, z „Solidarności", z opozycji, ze stoczni, ale nigdy go wówczas nie spotkałem. Adamski umiejętnie wtrącał do rozmowy, że „Bogdan by sobie życzył" tego czy tamtego. I wiecie co? Zadziałało. Ta monstrualna bezczelność zadziałała.

Podpisaliśmy umowę na te kioski na kilku peronach na warunkach, jakie chcieliśmy. I przez pewien czas one działały i sprzedawały książki ściągane z różnych powstających jak grzyby po deszczu wydawnictw prywatnych. Głód takiej literatury był przeogromny. Głód Zachodu, Ameryki.

To był początek wydawnictwa Phantom Press International. Choć wtedy jeszcze nie pojawiła się ta nazwa. Na początku nazywaliśmy się bardziej swojsko – Fantom Press.

Bierzcie Salmana

Dostałem zadanie: – Wymyśl, co będziemy wydawać.

Kurwa, a skąd ja to miałem wiedzieć?

Byłem studentem, mieszkałem z rodzicami, mieliśmy telewizor z dwoma programami, słuchałem płyt, radiowej Trójki, chodziłem do kina i czytałem to, co wydawano w oficjalnym obiegu. Na spotkaniu „wydawnictwa" czułem się, jak gdybym się nie przygotował do zajęć, a miałem zaraz być pytany. Żeby cokolwiek powiedzieć, rzuciłem, że jest taki pisarz Salman Rushdie, co napisał kontrowersyjną powieść, rzucono na niego klątwę, zapowiedziano, że go zabiją, jeśli więc to ktoś wyda, to zrobi wokół siebie szum i zarobi kasę, bo każdy to kupi. Wiedziałem o tym, bo wcześniej przeczytałem notkę, bodaj w tygodniku „Forum".

Adamskiemu pomysł się bardzo spodobał. Jednak wydawało się niepodobne, aby do wydania książki już ktoś nie kupił praw autorskich, nie zlecił tłumaczenia. Okazało się, że nie. Adamski kupił prawa – zdaje się, że w agencji Prava i prevodi Jovana Milenkovica mającej siedzibę w Belgradzie, obsługującej 21 krajów Europy Wschodniej (z tą agencją wydawnictwo później współpracowało częściej i gęściej). A może kupił te prawa w agencji autorskiej Gerda Plessla na jakichś targach w Warszawie? W każdym razie za kwotę, na którą wydawnictwo powstające w wynajętym pawilonie po małym osiedlowym sklepie mięsnym było stać.

Tłumacze stoją na półce

Dostałem drugie zadanie – znaleźć tłumacza. Jak się do tego zabrać? Przypominam, że to końcówka roku 1989 i początek 1990. Moje doświadczenie życiowe – niewielkie, bliskie zera. Dostęp do internetu – nie ma w Polsce żadnego, kurwa, internetu! Komórek też nie ma. Tylko dzięki temu, że matka była przez lata pracownicą przedsiębiorstwa państwowego Polska Poczta, Telegraf i Telefon, mieliśmy w mieszkaniu w bloku w Tczewie telefon stacjonarny. Nie była to oczywistość. Polazłem do biblioteki sprawdzić, czy cokolwiek do tej pory Rushdiego wydano w Polsce. Bingo! Na początku stycznia 1989 r. w Czytelniku ukazały się „Dzieci północy". Książkę zabrałem do domu. Zacząłem czytać. Odpuściłem po kilkunastu stronach. Nie moje klimaty, nie mój styl. Męka. Ale nie po to sięgałem po książkę, aby się upajać literaturą. Najważniejszej rzeczy, jakiej chciałem się dowiedzieć, się dowiedziałem. Tłumaczyła Anna Kołyszko. Jak znaleźć Annę Kołyszko?

W epoce przedinternetowej, przedkomórkowej było coś takiego jak wydawane przez Pocztę Polską książki telefoniczne w poszczególnych województwach. A tam był alfabetyczny spis wszystkich abonentów telefonów. Przy niektórych nazwiskach zaś nawet dopisek o profesji: lekarz, adwokat, tłumacz. Założyłem, że Anna Kołyszko mieszka w Warszawie i ma telefon. To było dobre założenie. Wykręciłem numer. Odebrała. Odmówiła tłumaczenia „Szatańskich wersetów". Byłem w punkcie wyjścia.

Podszedłem do półki, zacząłem wyciągać książki tłumaczone z angielskiego i sprawdzać, kto jest autorem przekładu. Pierwsza z brzegu – Joseph Heller, „Paragraf 22", tłumaczył Lech Jęczmyk. Bach, trzeba poszukać Jęczmyka.

W tych peregrynacjach telefonicznych dotarłem nawet do Stanisława Barańczaka (miałem na półce „Czarnoksiężnika z Archipelagu" Ursuli Le Guin), który mieszkał w Bostonie w USA. Skąd miałem do niego telefon, już nie pamiętam. Nie z książki telefonicznej… Jedyny, do którego nie dzwoniłem, to Maciej Słomczyński, z którym już wcześniej Adamski negocjował tłumaczenie nagrodzonej literackim Noblem monumentalnej „II wojny światowej" Winstona Churchilla. Adamski miał prawdziwego bzika na punkcie tej książki, bardzo chciał ją wydać i chciał, żeby ją tłumaczył właśnie Słomczyński, ale ten postawił warunki finansowe nie do przejścia. W rezultacie Phantom Press wydało to kilka lat później w tłumaczeniu różnych osób.

Tak czy siak nikt ze znanych tłumaczy, do których się zwróciłem, nie chciał podjąć się pracy nad „Szatańskimi wersetami".

W końcu od znajomej dostałem namiar na faceta. Był nauczycielem akademickim na skandynawistyce na Uniwersytecie Gdańskim, ale ponoć dobrze znał angielski i tłumaczył jakieś publikacje związane z gospodarką Bałtyku, żeglugą, marynistyczne. Znalazłem go na tzw. Humanie, czyli Wydziale Humanistycznym UG.

Miły facet. Akurat był w życiowej dupie. Rozszedł się z żoną, mieszkał w wynajętym pokoju u jakiejś emerytki. Namówiłem go na przekład Rushdiego. Obaj kompletnie nie rozumieliśmy, że do tłumaczenia takiej książki nie wystarczy tylko znajomość języka. Ani on, ani ja nie mieliśmy zielonego pojęcia o tle kulturowym książki. Ja przynajmniej przeczytałem kilkanaście stron „Dzieci północy". On nigdy wcześniej nie czytał nic Rushdiego.

Umowę na przekład podpisałem z nim uroczyście w kawiarni Grand Hotelu w Sopocie. Wypiliśmy po 7 piw. Ja jeszcze jako tako dawałem radę, mój tłumacz nie mógł ustać na nogach. Musiałem go prowadzić.

Piraci Rushdiego

Oprócz wydawnictwa Amber Phantom Press zrobiło w latach 90. nieprawdopodobną karierę. Było w tamtym czasie największym wydawnictwem prywatnym wydającym sensacje, horrory, romanse, SF i fantasy. Ludzie masowo czytali. W wydawnictwie znalazło pracę sporo moich koleżanek i kolegów z polonistyki. Niektórzy nadal są obecni w branży wydawniczej. Wydawnictwo nie przetrwało lat 90. Co się stało z Tadeuszem Adamskim? Nie wiem. Google nic nie mówi. Ci, którzy kiedyś całowali go po sznurówkach, nie bardzo chcą go wspominać, nie wiadomo dlaczego.

Phantom Press wydało „Szatańskie wersety" bodaj w 1992 r. Bez nazwiska tłumacza, nazwisk redaktorów, nazwy wydawnictwa, numeru ISBN ani nazwy drukarni. Wydawnictwo z powodu popularnego w latach 90. przeinwestowania miało już zatory finansowe. Miało nadzieje na Rushdiem się odbić. Wkrótce na rynku pojawiło się pirackie wydanie „Szatańskich wersetów", w tej samej szacie graficznej. I to w nakładzie ponoć 2 razy większym niż nakład wydania oficjalnego. Takie to były czasy, że piratowano książki. Dzisiaj nie do wyobrażenia…

„Szatańskie wersety" wydane przez Phantom Press to była źle przetłumaczona i źle zredagowana książka. Jest na Allegro. Aż dziwne, że ktoś śpiewa za nią 44 zł. Chyba że kupię ją sobie na pamiątkę. Ale nie. Nie kupię. I tak mam chatę zagraconą. Drugie wydanie, Rebisu, z 2020 r., w nowym przekładzie Jerzego Kozłowskiego, tłumacza ze znacznym i dobrym dorobkiem, kosztuje 113 zł.

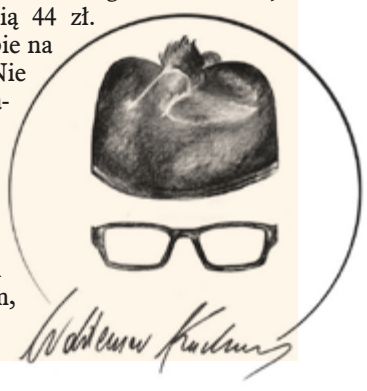

eprasa.pl 08b6638fa7

Człowiek, który przyjdzie na własny pogrzeb

Waldemara Kuchannego wspomina kolega z „Gazety Wyborczej”

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Waldek nie był aniołkiem.

Ostatni raz widziałem go na pogrzebie Małgorzaty Daniszewskiej w październiku 2023 roku. Usiadł w mojej ławce.

– Mam dziś przemawiać – westchnął. – Urban, teraz Małgosia… Czuję, że ja będę następny.

Z grzeczności mu nie przytaknąłem. Ale nie wyglądał dobrze. Był blady i tak wychudzony, że na twarzy wisiała mu skóra. Musiał na coś chorować, przecież całe życie był gruby.

Pomyślałem, że życie jest okrutne. Umrzeć, gdy w końcu osiągnął wymarzoną wagę?

Odchudzał się, gdy prawie 30 lat wcześniej przyjmował mnie do pracy w gdańskiej „Gazecie Wyborczej”. Nigdy na tym polu nie odnotował żadnych znaczących sukcesów. Jego metoda polegała na ciągłym poszukiwaniu dietetycznych potraw oraz napadach żarłoczności do wszystkiego innego. Te napady tuszował chrupaniem pieczywa ryżowego.

Wtedy był prawą ręką redaktora naczelnego w Gdańsku i mózgiem tamtej redakcji. Były to dobre czasy dla prasy drukowanej. Pieniędzy było w bród, a Waldek ciągle przyjmował do pracy nowych ludzi. Wszyscy byli młodzi, a seksizm i mobbing były częścią atmosfery pracy.

Imprezy u Waldka były huczne, a sam gospodarz często przekraczał granice zdrowego upojenia. Raz gdy przyszła policja, zaczął wykrzykiwać, że ich powystrzela i szukać posiadanego nielegalnie pistoletu. Został obezwładniony przez trzeźwiejszych kolegów, w tym czasie koleżanki załagodziły spór z policją.

Na kolegiach, gdy nie było dostatecznie wiele tematów, krzyczał i groził zwolnieniem. Poza tym jego ulubionym zarzutem (nie do odparcia) było, że ktoś nie umie pisać. Słabsze psychicznie kobiety płakały, mężczyźni siedzieli z zaciętymi twarzami. Redaktorem był dobrym, miał pomysły, nigdy nadmiernie nie ingerował w cudze teksty (co w „Gazecie” nie zawsze było normą). Ostatecznie nikogo nie zwolnił, kobiety nie musiały z nim sypiać (choć najchętniej przyjmował do pracy takie z kształtnymi piersiami).

Swój pierwszy ślub z niewiadomych dla mnie powodów długo utrzymywał w tajemnicy. Była to chyba jego słabość do mistyfikacji. W sumie nikogo to nie obchodziło, ale on przez całe lata przekonywał, że żyje z żoną bez boskiego bądź ludzkiego przyzwolenia. Do ślubu przyznał się chyba tylko dlatego, że w końcu wziął rozwód.

Jako dziennikarz był wredny dla władzy. Jego komentarze doprowadzały do furii prezydenta miasta Pawła Adamowicza, który regularnie skarżył się na Kuchannego w redakcji w Warszawie i wytaczał mu procesy.

Dużo łaskawszy Waldek był dla artystów. Łatwiej można było go złapać na lep pochwał jego (rzekomych) zdolności aktorskich, niż na obiad z dobrze rokującym politykiem. Tę słabość Waldka wykorzystał Maciej Nowak, jeszcze zanim został krytykiem kulinarnym i dyrektorem teatru. Regularnie zapraszał go do występów w swoim „Niekabarecie”. Występy Waldka były złośliwe, publisi się podobały.

Oprócz jedzenia Waldek miał zamiłowanie do ciętego humoru. W weekendowej gazecie redagował wtedy tak zwaną „ostatnią stronę”. Słynęła z mniej lub bardziej dowcipnych plotek.

Któregoś dnia napisał, że u dyrektora Teatru Wybrzeże nocowała znana polityczka, w przeszłości jego żona. Zrobił się z tego szum, bo oboje byli już w kolejnych związkach. O zapowiadających się kłopotach Kuchannego poinformował Nowak (wówczas szef kultury w „Gazecie Wyborczej”). Uprzedził, że do Gdańska będzie dzwonił Adam Michnik. Poradził też z dobrego serca:

– Lepiej się przed nim nie płaszczyć. Adam tego nie lubi.

Gdy zadzwonił telefon od naczelnego, Waldek był gotowy do walki. Usłyszał pytanie:

– Od kiedy to nasza gazeta pisze o tym kto z kim sypia?

Michnik nawet się nie zająknął, tylko oznajmił: – Zdejmuję ostatnią stronę.

Następnie był trzask odkładanej słuchawki. Waldek pozostał z uczuciem, że zdołał ocalić godność, bo nie zdążył wtrącić nawet słowa. Oraz z pytaniem: czy może istnieć gazeta bez ostatniej strony?

Inną pasją Waldka były języki obce. Sam żadnego z nich nie znał, ale szanował ludzi, którzy się nimi posługiwali. Właśnie znajomości języków skandynawskich ja zawdzięczam zatrudnienie „Gazecie”. Kuchanny szybko mnie awansował i wspólnie jeździliśmy w delegacje służbowe do Szwecji. Marzył, że sobie kiedyś kupi domek letni w Karlskronie. Kazał mi nawet tłumaczyć ogłoszenia o nieruchomościach ze szwedzkich gazet. „Wyborcza” płaciła wtedy bajkowo, więc nie było to takie niemożliwe.

Stracił zainteresowanie Skandynawią, gdy przyjął do pracy Joannę. Ta znała język niemiecki, więc razem jeździli do Berlina. Waldek podkreślał, że ich związek miał charakter wyłącznie przyjacielski. Joanna zrobiła potem karierę w Warszawie, została nawet żoną prezesa TVP (już byłego).

Waldek miał jedną fatalną przypadłość. W momentach, gdy los mu sprzyjał, popadał w zadufanie. Znał każdego, ale prawdziwych przyjaciół miał niewielu.

Dlatego, gdy został wyrzucony z „Gazety Wyborczej”, został na lodzie. Nie stała za tym żadna konkretna afera, był to wyrok za całokształt. Wśród współpracowników i przełożonych w Warszawie Kuchanny miał za dużo wrogów, by przetrwać zwolnienia grupowe.

Wkrótce okazało się, że w żadnej redakcji w Gdańsku pracy nie dostanie. Szukał kilka miesięcy, w końcu jako gdańskiego korespondenta zatrudnił go Jerzy Urban.

W solidarnościowym Gdańsku „NIE” zawsze czytane było ukradkiem, a tygodnik Urbana cieszył się złą sławą. Wszyscy znajomi Waldka uznali, że pasuje do „NIE” idealnie.

Tymczasem był to po prostu przypadek.

Dwadzieścia lat później, gdy wraz z Dorotą Karaś pisałem biografię Urbana, Waldek przyznał, że praca w „NIE” to najlepszy przypadek w jego życiu. Podejrzewał jednak, że Urban go nie lubi.

Jego szef musiał jednak coś w nim widzieć, skoro zrobił go swoim zastępcą.

Drugie małżeństwo Waldka zakończyło się tak jak pierwsze, choć została mu po nim córka. Myślę, że Józka zmieniła Waldka bardziej niż Urban. Okazało się, że bycie ojcem jest dla niego najważniejszą rzeczą w życiu. Nie można już się było z nim umówić na spotkanie, bo zawsze musiał albo gdzieś wieźć, albo odbierać córkę. To było zaskakujące, nie pasowało do Waldka, którego znałem wcześniej.

Na facebooku stworzył postać Wielebnego Waldemara. Przebrany za księdza nagrywał filmy z rzekomymi kazaniami.

– Niektóre były nawet śmieszne – powiedział mi wczoraj nasz wspólny znajomy Krzysztof Skiba. I zauważył: – On miał zdolności aktorskie.

Waldek do teatru chodził dużo, choć jako recenzent nigdy się nie przebił. Wydaje mi się, że jego ostatni artykuł to recenzja ze sztuki „Urban. Idę po was”. Oczywiście złośliwa.

Lubiłem Waldka (choć nie jestem pewien, że z wzajemnością). Był kolorowym ptakiem, jego złość pasowała do Polski.

Po śmierci Urbana zastanawiał się, co dalej będzie z pismem i zatrudnionymi w nim dziennikarzami.

– Może załóżcie spółdzielnię dziennikarską? – zapytałem. Waldek (ciągle jeszcze gruby) spojrzał na mnie przez czerwone oprawki okularów. Na czubku głowy miał wtedy zafarbowanego na niebiesko irokeza, zrobionego z resztki rzadkich włosów.

– Nie damy rady. Może mi nie uwierzysz, ale ja jestem najbardziej normalnym człowiekiem w tej redakcji – obwieścił. – A przecież wiesz, że jestem wariatem.

Ostatecznie „NIE” zdecydowała się prowadzić żona Urbana, Gośka Daniszewska, a po jej śmierci – jej córka, Marta Miecińska. Waldek został redaktorem naczelnym i przez chwilę wydawało się, że przed nim świetlana przyszłość. Jego facebookowi znajomi wkrótce przekonali się, że nie do końca. Bombardował ich codziennie swoim dziennikiem z każdej kolejnej fazy umierania, pobytów w szpitalu i kolejnych bolesnych zabiegów. Gdy umarł, niektórzy odetchnęli z ulgą. Ja ciągle mam nadzieję, że to kolejna jego mistyfikacja. Na pogrzebie będę się za nim rozglądał.

MAREK STRELINGOW

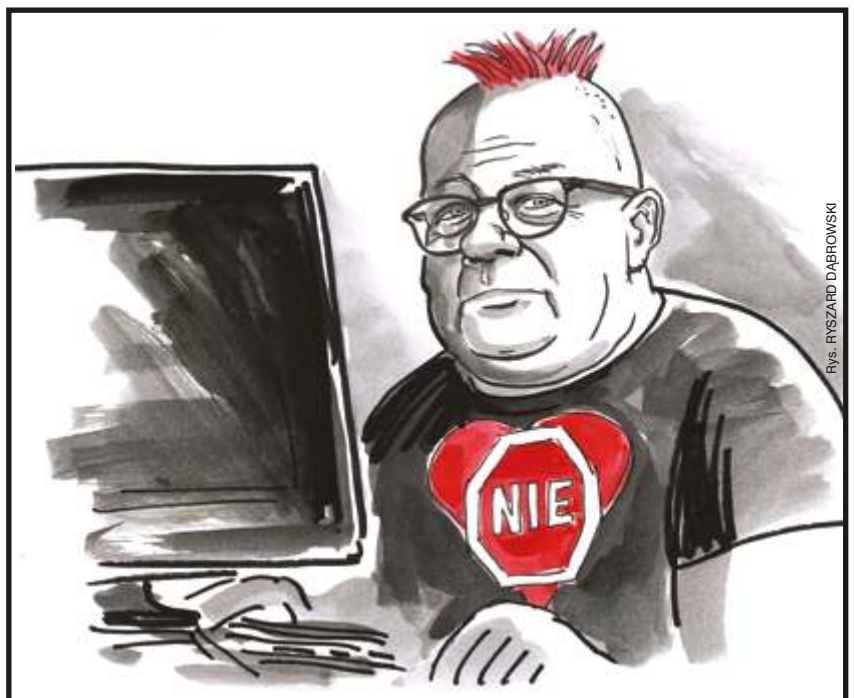

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Waldemar Kuchanny był pierwszą osobą, którą spotkałam w redakcji „NIE”, gdy przyszłam do pracy. Był listopad 2022 r., wkrótce po śmierci Urbana. Zostałam oddana pod opiekę Waldka, bo to z nim przede wszystkim miałam współpracować i wzajemnie się uzupełniać w prowadzeniu tygodnika.

Pójść do pracy w legendarnej gazecie Urbana bez Urbana... Gdy Waldek zaczął mnie wdrażać w moje obowiązki i coraz bardziej poznawałam „NIE” od kuchni, szybko odczułam, że duch Urbana jest jednak wśród nas. On po prostu zamieszkał w Waldku.

Waldek miał genialne wyczucie gazety, kipiał pomysłami i kiedy tylko został redaktorem naczelnym „NIE”, chciał je wszystkie realizować. Wszystkie w duchu Urbana. Prowokacyjne, kpiarskie, ironiczne, bez żadnych świętości i tabu. Dyskutując o tych pomysłach, wymieniając się spostrzeżeniami i uwagami na ich temat, niejednokrotnie zahaczaliśmy o zagadnienie: gdzie są – mówiąc Generałem – granice, których przekraczać nie wolno? Waldek nie znał takich granic. Nade wszystko cenił wolność wypowiedzi. Każdej.

Choroba okrutnie zweryfikowała jego plany. Podcięła mu skrzydła dosłownie z dnia na dzień. Jeszcze chciał, jeszcze próbował, gdy tylko mógł...

Było w nim coś z aktora kpiarza, było coś z happenera prowokatora. Ale przede wszystkim był w nim wolny duch.

Takiego Cię zapamiętam, Waldku.

EDYTA BAKER

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Waldek był twardy i niczego się nie bał. Walczył o swoje zdrowie (a kiepskie było od dawna), walczył o córkę, która była jego oczkiem w głowie, a przede wszystkim walczył z obłudą. Był chyba pierwszym polskim satyrykiem, a na pewno najbardziej znanym, który miał odwagę nagrywać skecze przebrany za księdza. Jeszcze kilka lat temu było to dowodem prawdziwej odwagi. Jeśli dziś już tak nie jest, to należy w tym widzieć również jego zasługę.

Waldek Kuchanny należał do wąskiego grona pionierów walki z bigoterią i klerykalizacją Polski. Niczego nie ujmując jego wieloletniej pracy w mediach, właśnie to uważam za najważniejsze jego dokonanie. Waldek był dobrym, szczerym facetem, od którego można się było uczyć, jak się nie bać i robić swoje, gdy stoi się po właściwej stronie.

Córce Waldka chciałbym zaś powiedzieć: Twój Tata był świetnym gościem. Musisz przez to przejść, ale po żałobie pozostanie duma. I to jest najważniejsze. A poza tym, gdzie jest powiedziane, że mamy żyć długo? Waldek żył dość krótko, ale żył dobrze. Zachowam go we wdzięcznej pamięci i zawsze będę powracał do jego filmików. Teraz, po śmierci Autora, będą klasykami gatunku.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 08b6638fa7

Młodzi, sfrustrowani, nienaiwni

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Nie pamiętam takich czasów, żeby polityka była normalna

Mam 18 lat. Nie pamiętam czasów, w których polityka nie budziłaby skrajnych emocji. Nigdy nie zaznałem poczucia, że tzw. wojna polsko-polska zmierza ku końcowi. Myślałem jednak – może naiwnie – że po październikowych wyborach, kiedy tak tłumnie poszliśmy do urn, głęboka przemiana politycznego krajobrazu jest nieunikniona. Niestety: Tusk, mimo hucznych zapowiedzi skończenia z polityką podziałów, wciąż gra na nastrojach społecznych, z korzyścią dla swojej formacji. I ze szkodą dla nas wszystkich.

Rycerze sprawiedliwości

Liderzy opozycji w czasach rządów Morawieckiego bez przerwy zarzucali władzy podgrzewanie nastrojów. Zarzuty jak najbardziej słuszne, w końcu zwycięska seria wyborcza Jarosława Kaczyńskiego to w znacznym stopniu efekt polityki nienawiści – do Niemców, imigrantów, osób LGBT. Nowy rząd skończył te akurat wojny – jednak taktyka gry na emocjach pozostała.

Odbicie TVP z rąk PiS – choć potrzebne – stało się przede wszystkim pokazem siły i sprawczości nowej ekipy. Czy Tusk z Sienkiewiczem martwili się legalnością swoich działań? Wydaje się, że nieszczególnie musieli. Początkowe wątpliwości ucichły, liderzy PiS zobaczyli, że nowa ekipa litości mieć nie będzie, a wyborcy „ratowników demokracji" otrzymali ku swojej uciesze pokaz siły nowej władzy i symboliczny koniec „reżimowej" telewizji. Ale czy odbicie rządowej telewizji rzeczywiście zakończyło erę polaryzacji Polaków przez media?

Nie do końca. Owszem, przekaz narodowej telewizji uległ zmiękczeniu, ale przecież widzowie mają pilota. Z danych Nielsen Audience Measurement wynika, że rządowa telewizja straciła w ciągu roku ponad 70 proc. widzów. Oglądalność Telewizji Republika wzrosła o 3278 proc., a telewizji wPolsce.pl – o przeszło 1000 proc. Operacja skończenia z medialną polaryzacją polskiego społeczeństwa nie powiodła się – wyborcy PiS najzwyczajniej w świecie przeszli do mediów Sakiewicza i braci Karnowskich.

Kolejnym elementem sprzyjającym postępującej polaryzacji są priorytety nowego rządu. Formacja Donalda Tuska od początku głosiła, że najważniejsze po przejęciu władzy będzie rozliczenie poprzedniego rządu. Wyrażanie wątpliwości czy też sprzeciwu wobec takich priorytetów grozi ostracyzmem – bo przecież wobec wroga nie możemy mieć litości.

Czy komisje śledcze przynoszą oczekiwane rezultaty? W kwestii rozliczeń PiSu – nieszczególnie, za to na płaszczyźnie budowania przez załogę Tuska dobrego PR-u jako rycerzy sprawiedliwości już tak; w końcu nie sposób nie zauważyć, że w komisjach śledczych pierwsze skrzypce grają ludzie premiera. Z sondaży wynika, że Polacy nie śledzą prac komisji z zapartym tchem. Według SW Research jedynie 22 proc. ankietowanych ocenia pracę komisji pozytywnie – i śmiało można stwierdzić, że są to przedstawiciele najwierniejszego elektoratu Koalicji Obywatelskiej.

Inne badanie tej samej pracowni wskazało, że niecałe 15 proc. uznaje rozliczenia za priorytet; jedna czwarta ankietowanych twierdzi, że istnieją ważniejsze kwestie, którymi obóz rządzący powinien się zająć.

Praca komisji, choć ślamazarna i mało efektywna, daje jednak wrażenie, że rząd się zajmuje czymkolwiek. Pomaga w maskowaniu faktu, że dopóki w Pałacu Namiestnikowskim zasiada Andrzej Duda, nie ma co liczyć na zmiany. Podobnym zabiegiem PR-owym jest kreowana od kilku miesięcy narracja o postawieniu przed Trybunałem Stanu Adama Glapińskiego. Realne szanse na proces są nikłe, a wniosek złożony do komisji odpowiedzialności konstytucyjnej tak na zdrowy rozum wygląda na bezpodstawny.

Imposybilizm w służbie kaczyzmu

Powodów do zachwytu nie ma też najmłodsze pokolenie wyborców. Rząd wydaje się nieszczególnie zainteresowany tematami kluczowymi dla wielu osób, które w ostatnim maratonie wyborczym głosowały po raz pierwszy w życiu. Budownictwo społeczne? Tu głos młodych nie przebije lobby deweloperskiego. Kwestie aborcji i osób LGBT? Weto stawia konserwatywna część Trzeciej Drogi. W sprawie CPK ostatnio pojawiło się światełko w tunelu, ale trudno o optymizm.

Ten zastój i imposybilizm, to coś, co mi – tegorocznemu maturzyście – najbardziej zawadza w obecnym nastroju politycznym. Oczywiście, polityka to zjawisko długofalowe – lecz

w działaniach obecnego rządu trudno dostrzec konkretny pomysł na Polskę. Gdyby nie istniał PiS, to czym zajmowałby się Tusk?

Może to zabrzmieć infantylnie, ale znaczna część przedstawicieli mojego pokolenia po prostu zawiodła się na klasie politycznej.

Rozmawiam o tym z rówieśnikami. Od jednego słyszę, że choć spodziewał się takiego mniej więcej funkcjonowania nowego rządu – zawiódł się na koalicjantach KO, szczególnie lewicy, która sama sprowadziła się do roli przystawki, takiej jak Zieloni czy Nowoczesna. Inny mówi mi, że najbardziej boli go wymigiwanie się od kwestii światopoglądowych – takich, jak chociażby religia w szkole; w jego opinii zmniejszenie liczby godzin do jednej tygodniowo dalej nie sprawia, że państwo jest świeckie. Słyszę też krytykę kredytu 0 proc. i innych neoliberalnych pomysłów, które służą jedynie deweloperom.

W dniu eurowyborów rozmawiałem ze znajomą, dla której były to pierwsze wybory w życiu. Mimo październikowego entuzjazmu związanego z klęską PiS, w czerwcu zdecydowała się zagłosować właśnie na nich. Dlaczego? „Rząd faktycznie nic nie robi. Dużo obietnic, dużo gadania, brak realizacji". Czy to kwestia młodzieńczej niecierpliwości? Nic bardziej mylnego. „Nie widzę perspektyw na realizację obietnic, a jedynie uciekanie od oczekiwań i szukanie tematów zastępczych".

Konfa w kontrze

Takich przypadków będą tysiące, niezależnie od wieku. Po samej już zmianie frekwencji między październikiem i czerwcem widać, że nie chodzi o lenistwo wyborców, ale o fakt, że wróciliśmy do stanu, w którym wiele osób czuje, że „nie ma na kogo głosować". By nie legitymizować rządu, którego praktycznie jedyną spełnianą obietnicą jest rozliczanie poprzedników (ze skądinąd miernym skutkiem), część wyborców do urn nie idzie, a inni głosują na nową opozycję.

Widać to w opinii innego maturzysty, który mimo stricte lewicowych poglądów i październikowego głosowania na partię Czarzastego i Biedronia, tym raz został w domu. Dlaczego? „Nie znalazłem żadnego kandydata, który by mi pasował, a lewica swoimi ostatnimi działaniami nie zachęciła do głosowania na kogokolwiek".

Dlatego też rosnące poparcie dla Konfederacji jest w pełni zrozumiałe. Gdy dwie największe partie skupiają się na zwalczaniu siebie nawzajem, w obozie rządowym króluje imposybilizm, a koalicjanci coraz bardziej sprowadzani są do roli przystawek – tym, kto zyskuje, będzie naturalnie partia stawiająca się w opozycji do każdego. Szczególnie, gdy w Europie Zachodniej obserwujemy wzrost skrajnej prawicy.

Mimo, że Mentzen i Braun swoje poparcie zbudowali głównie wśród młodych – i tym się szczycą – moje pokolenie widzi również zagrożenia z tego płynące. Inny z moich rozmówców wyznaje: „W polskiej polityce tak naprawdę martwi mnie jedna rzecz: wysokie poparcie Konfederacji wśród młodzieży. Boję się, że ci ludzie w przyszłości mogą mieć realny wpływ na Polskę". Wielu z nas czuje, że Konfederacja jest niezwykle skuteczna w budowaniu swojego kościoła poprzez bazowanie na kontrowersji i rzucaniu banalnych wolnorynkowych frazesów trafiających przede wszystkim do osób polityką niezainteresowanych, bądź zainteresowanych jedynie pobieżnie.

Kabaret plemienny

Model polityki uprawianej przez Tuska jest bardzo skuteczny – ale tylko dla utrzymywania zaangażowania twardego elektoratu, dla którego ściganie PiS jest celem nadrzędnym. Sprzyja to duopolowi, który działa na korzyść PO, pomagając minimalizować wpływy koalicjantów. Śmiem twierdzić, że – wbrew pozorom – najmłodsze pokolenie jest na taką emocjonalną manipulację mniej podatne niż większość seniorów. Wśród rówieśników widzę nie tyle zmęczenie polaryzacją, co narastającą frustrację.

Znów posłużę się opiniami moich rozmówców, którym zadałem proste pytanie: „Co najbardziej irytuje cię w obrazie polskiej polityki?". Odpowiedzi, przynajmniej dla mnie, nie były zaskakujące: „To, że politycy skupiają się na konkurencji i zwalczaniu się wzajemnie, przez co priorytetem nie jest już dobro państwa i obywateli"; „plemienność i polaryzacja polityki"; „brak realnie lewicowej partii". Na koniec pytanie to zadałem, dla odmiany, osobie niezaangażowanej emocjonalnie w politykę i nieśledzącej jej na co dzień. Usłyszałem, że „polska polityka przypomina kabaret". Niestety, tak to właśnie wygląda z zewnątrz.

Ta powyborcza perspektywa powinna być ostrzeżeniem dla rządzących. Gdzie tracą koalicjanci – tam zyskuje Konfederacja. Dopóki Tusk do spółki z Kaczyńskim zajęci są utrwalaniem w Polsce systemu dwupartyjnego, dopóty czeka nas postępująca degradacja społeczeństwa obywatelskiego, którego odrodzenie tryumfalnie ogłoszono 15 października. Umacniający się duopol jest i będzie pożywką dla antysystemowców pokroju Konfederacji.

Koalicja rządząca wie, że PiS od władzy udało się odsunąć w dużej mierze dzięki mobilizacji młodzieży i kobiet. Dziś te grupy poszły w zapomnienie. W 2015 r. Platforma Obywatelska również była pewna, że zwycięstwa przyjdą same; zamiast tego mieliśmy triumfalny pochód Zjednoczonej Prawicy. Dzisiejszy obóz rządzący zdecydowanie powinien przemyśleć swoją taktykę na następne miesiące i lata. Jeśli nic się nie zmieni, możemy obudzić się w brunatnej Polsce, a tego nie chce nikt – nawet ta większość wyborców Konfederacji, która nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia.

NIKODEM KUSZ

REKLAMA

eprasa.pl 08b6638fa7

GADMAN

W Polsce klasa polityczna, projektując nam przyszłość, olewa ekspertyzy; zwłaszcza te nieradosne.

Horeo i Rulia

„To Niemcy i ich polscy pomocnicy likwidują nam CPK" – grzmiał niedawno redaktor Michał Karnowski w najbardziej kaczystowskim tygodniku „Sieci". Wieszczył, że „za Tuska CKP po prostu nie może powstać", bo „skasowanie polskiego rozwoju i polskich ambicji jest dziś głównym celem politycznych, berlińskich patronów premiera". I ujawniał chytry niemiecki plan.

Najpierw Berlin wezwał Tuska z rozpasanej Brukseli i rzucił go na polski odcinek. Tusk „zgodził się na to z dużą niechęcią, gdyż naszej ojczyzny po prostu nie lubi". Ale *Ordnung muss sein*, westchnął pewnie *Herr* Tusk, i ruszył na przymusowe roboty do Polski.

Tam rozpoczęła się „faza druga: czyszczenie przedpola. Polaków trzeba było pozbawić części mózgu, stąd atak na wszystkie niezależne instytucje, które nawet jeśli przetrwały, są zastraszone i osłabione. Trzeba też było odebrać Polakom głos, tak by nie wybrzmiała oczywista polska racja stanu w tych sprawach" – wyjawił takimi prostymi słowami redaktor Karnowski, wierny żołnierz prezesa Kaczyńskiego.

Teraz czas na trzecią fazę – eksterminacji narodu polskiego. W efekcie rządów Tuska „fabryki mają padać, bezrobocie ma rosnąć, atrakcyjność życia w Polsce ma zostać mocno osłabiona".

A wszystko dlatego, że Niemcy zazdroszczą Polakom rozwoju dokonanego za rządów PiS. Zwłaszcza ich narodowych czempionów, czyli prezesów Kaczyńskiego i Obajtka. Gigantów „rozpędzonego polskiego rozwoju", mistrzów „zarządzania polskim majątkiem".

Media nam CiPKieją

W polskich mediach, zwłaszcza w internecie, „CiPKi" się rozmnożyły.

„CiPKi" to entuzjaści budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Wielkiego lotniczego portu przesiadkowego i sieci kolei dużych prędkości dowożących tam pasażerów ze wszystkich miejsc w Polsce.

„CiPKi" nawołują do kontynuowania budowy gigantycznego lotniska w Baranowie. Przyszłej dumy setek milionów Polaków, bo ów Baranów przejąć ma miliardy pasażerów z lotnisk niemieckich. Patriotycznie splunąć Niemcom w ich „zdradzieckie mordy". Nic dziwnego, że każda krytyka CKP traktowana jest przez CiPKi jako wraża, proniemiecka robota.

Pewnie dlatego w tym samym wydaniu kaczystowskich „Sieci" jest wywiad z posłanką Pauliną Matysiak z partii Razem:„Stać nas na to, by wybudować duży hub przesiadkowy i linie kolejowe. Możemy godnie żyć bez kompleksów. Nastawienie obywateli jest jasne – więcej Polaków chce kontynuacji tego projektu niż jego wstrzymania. Chcemy być wiodącym państwem w tej części UE, a nie zostać skansenem Europy". I tak, na tydzień przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, posłanka z Partii Razem wpisywała się w kampanię narodowej gigantomanii PiS.

Nie tylko ona. CiPKowe obiecanki-cacanki poparli w czasie kampanii do europarlamentu wszyscy aktywni w niej liderzy lewicy. Poddając się głównemu nurtowi przedwyborczych nastrojów.

Internetowy plebiscyt, kto jest polską, patriotyczną „CiPKą", a kto ma serce w Berlinie, toczy się jakby rzeczywiście Polacy potracili już „część mózgu". Nadal nie mamy realnych kosztów tych obiecanek. I mieć nie będziemy, skoro nadal nie mamy zwartej koncepcji przyszłej inwestycji. Dalej internet debatuje o realizacji „narodowej dumy Polaków", o obietnicach. Ostatnio o obiecankach rządu Tuska, ale nie o zaspakajaniu niezbędnych potrzeb komunikacyjnych obywateli naszego państwa.

Roztaczając wizję „polskiego Dubaju" nikt nie wspomina, że posiadanie megalotniska nie gwarantuje napływu pasażerów. Że wszystkie obecnie istniejące huby przesiadkowe obsługują istniejące już megalinie lotnicze. Niemieckie, francuskie, tureckie, chińskie i należące do arabskich szejków.

Polskie Linie Lotnicze LOT są jedyną średniej wielkości europejską linią, która nadal działa – dzięki ukrytej pomocy finansowej państwa. Nie jest w stanie samodzielnie obsłużyć wielkiego portu lotniczego. Dziś nie potrafi wywalczyć na zagranicznych lotniskach dobrych godzin startów i lądowań. Dobrych miejsc odpraw.

O możliwościach i potrzebach komunikacji lotniczej w Polsce świadczy choćby lotnisko w Radomiu. Wybudowano je, bo tak zechcieli radomscy politycy PiS. Ani LOT, ani żadna z dużych linii lotniczych, nie chce stamtąd latać. Lotnisko przynosi jedynie straty finansowe. O tym „CiPKi" nie wspominają.

Ruski ryje pod rozwojem

Debatując o CPK nie mówi się też, że konflikt z Rosją zablokował rosyjską przestrzeń dla lotów z Polski. I nie wiadomo kiedy zostanie ona dla nas otwarta. Może za pięć, a może za 25 lat. Bo władze polskie nie robią niczego, aby łagodzić relacje z Rosją, aby przestać być narodowym czempionem w światowej rusofobii.

Prognozowany sens ekonomiczny przesiadkowego lotniska w Baranowie oparty był na kalkulacji, że będą stamtąd liczne loty do Azji. Tańsze, bo przez rosyjską Syberię. Teraz do Azji latamy przez megalotniska w Turcji i Emiratach Arabskich. Pasażerowie z Europy też tak latają. Bez porozumienia z Rosją przesiadkowy port lotniczy w Polsce nie ma sensu. Potrzeba budowy gigantycznego CPK oparta jest jedynie na deklaracjach ankietowanych Polaków. Oni pytani, czy chcą w przyszłości latać daleko samolotami, gremialnie odpowiadają, że chcą. Bo kto by nie chciał? Pytani, czy chcą latać z Polski, odpowiadają, że wolą z Polski. Te sondażowe deklaracje mają takie same prognozowe wartości, jak kalkulacje prezydenta Dudy, że skoro Polacy bogacą się, to w przyszłości będą masowo kupować sobie prywatne samoloty.

W debacie o CPK przemilczany jest fakt, iż społeczeństwo polskie – podobnie jak europejskie – starzeje się. Że kolejne roczniki emerytów będą mieć bieda emerytury. Nie stać ich będzie na dalekie, przesiadkowe loty.

Nie przypomina się, że przez najbliższe lata będziemy wydawać przynajmniej 4 proc. PKB na wielkie narodowe zbrojenia. Setki miliardów złotych na obiecane transfery socjalne. Miliardy na obiecywane elektrownie atomowe, a wcześniej rozbudowę sieci energetycznych, bo istniejące nie wystarczają. Mamy też budować fabryki samochodów elektrycznych, pogłębiać deficytowy kanał w Mierzei Wiślanej, port w Elblągu, szybką kolej Via Baltica, no i narodowe fortyfikacje „linii Tuska" broniące nas przed migrantami.

Tymczasem w Polsce już brakuje cementu i ludzi do pracy na budowach. Narodowy czempion polonizacji wszystkiego, czyli Orlen, buduje swą sztandarową inwestycję w Płocku robotnikami ściągniętymi z Filipin, Bangladeszu i republik środkowoazjatyckich.

Nie wspomina się też, że poprzedni zarząd „CPK w budowie" kierowany przez posła Horałę z PiS, wynajął przynajmniej cztery duże agencje reklamowe, aby przekonywały obywateli polskich do budowy CPK. Jak widać, dobrze wykonują swoją robotę.

Miłość do szprych

Każda sejmowa kadencja ma burzliwe ponadpartyjne romanse. Miłość parlamentarzystów łamiącą polityczne podziały. Miłość polityczną, czasem też cementowaną seksem. Widziałem w czasie mojego posłowania niejeden taki.

Wspomniana już posłanka Paulina Matysiak z Partii Razem zawarła właśnie publiczny związek partnerski z posłem PiS Marcinem Horałą. Zapragnęła też mieć z nim dzieci. Wspomniany już CPK, sieć linii kolei szybkich prędkości, elektrownie atomowe. To tylko na początek.

Jednak kierownictwo Partii Razem jednoznacznie uznało, że trzeba zabić tę miłość i zawiesiło posłankę w prawach członka. Kierownictwo PiS nie represjonowało swego Horały. Czym udowodniło, że więcej jest tam wolności dla politycznych związków partnerskich. Że liderzy PiS nie są rasistami politycznymi.

Tak oto mamy kolejna wersję „Romea i Julii", albo „West Side Story". Naszego polskiego Horeo i narodową Rulię. Nie wiem, czym zauroczył poseł Horała posłankę Matysiak. Jest przecież synonimem pisowskiego rwacza publicznych pieniędzy. Brał dziesiątki tysięcy złotych miesięcznie z naszych podatków za promowanie megalotniska, które nie powstało i nigdy nie powstanie. Obiecywał wyborcom przysłowiowe Niderlandy za podatki przez nich płacone. Czy posłanka Matysiak tego nie zauważyła? Czy nieświadomie, czy cynicznie, wpisała się w główny nurt polskiej klasy politycznej? W zasadę „Obiecujemy wszystko, co tylko możemy i liczymy, że wyborcy nas z tego nie rozliczą". Na zasadzie: „Jedzmy gówna, skoro miliardy much tak czynią".

W Polsce klasa polityczna projektując nam przyszłość nie kieruje się ekspertyzami. Rzetelnymi prognozami. Zwłaszcza tymi nieradosnymi.

Kieruje się w swych obietnicach – i działaniach niestety – przede wszystkim aktualnymi sondażami opinii wyborców. By stworzonymi wedle aktualnych nastrojów wyborców obietnicami, niczym syrenim śpiewem, zwabić potencjalny wyborczy „ciemny lud".

Nawet jeśli sondaże są zamawiane i manipulowane przez wynajętych przez wielkie korporacje sondażowców, ekspertów, celebrytów, samozwańczych liderów opinii publicznej.

Centralny Port Lotniczy w obiecywanej przez „CiPKi" wersji nigdy nie powstanie. Na nasze szczęście, bo nie ma racjonalnego sensu dla takiej inwestycji.

Nie będziemy też jeździć szybkimi pociągami z Jasła do Giżycka, choć wielu polityków to wam obiecuje. Bo takie inwestycje też sensu nie mają.

Za to tysiące lobbystów, ekspertów, publicystów i przede wszystkim polityków będzie żyło sobie z obiecanek podobnych megainwestycji, ze straszenia nas Niemcami i migrantami.

Żyło dostatnio, bo za nasze megapodatki.

PIOTR GADZINOWSKI

Biedapolis

Ile kosztuje największy skarb premiera

„Naszym wielkim skarbem jest sieć nowoczesnych lotnisk regionalnych. Będziemy wspierać rozwój lotnisk regionalnych" – oznajmił premier Tusk przy okazji przemowy o budowie CPK w nowej formule. Lubię Tuska i tylko dlatego nie napiszę, że albo łże, albo nie ma pojęcia o czym mówi.

Bankruci i Wańki Wstańki

Lotnisko w Gdyni przez kilka lat nosiło dumną nazwę „Port Lotniczy Gdynia-Kosakowo Sp. z o.o. w upadłości likwidacyjnej". Lotnisko w Gdyni – zanim upadło – nigdy nie przyjęło żadnego samolotu.

Raporty organów Unii Europejskiej dowiodły, że w biznesplanach przygotowywanych przed gdyńską inwestycją nic nie trzymało się kupy. Ekspertyza firmy doradczej, która stwierdzała zasadność budowy lotniska, okazała się całkowicie błędna. Sprawą zajmowała się NIK i CBA. Kasę trzeba było zwrócić Brukseli.

W kosmos posłano ponad 100 mln zł. Na coś, co w 2021 r. gmina Kosakowo kupiła od syndyka za nieco ponad 7 mln zł. Ale oczywiście nikomu z osób, które podpisywały się pod kwitami inicjującymi uruchomienie lotniska cywilnego w Gdyni-Kosakowie, a potem pchając ten wózek doprowadziły do upadku spółki, nie spadł żaden fragment owłosienia. Prezes, jak był prezesem Portu Lotniczego Gdynia-Kosakowo sp. z o.o, tak został prezesem tego samego z dopiskiem „w upadłości likwidacyjnej". Uposażenie też miał takie samo. Prezydent Gdyni Wojciech Szczurek, czyli ojciec tej katastrofy, został odstrzelony dopiero w trzecich wyborach od czasu, jak utopił pieniądze gdynian w lotnisku. Płatek łupieżu nie spadł też z włosów przedstawicieli Ministerstwa Obrony Narodowej i władz Portu Lotniczego im. Lecha Wałęsy w Gdańsku. A i jedni i drudzy w 2005 r. również podpisywali list intencyjny.

Port Lotniczy Radom, znany również jako Radom-Sadków lub (uwaga!) Warszawa-Radom, to lotnisko zbudowane zaledwie 3,5 km od centrum miasta. Inwestycja została ukończona i oddana do użytku w 2014 r. Zgodnie z planem od 29 maja 2014 r. lotnisko miało zacząć obsługiwać pasażerów.

Przeróbkę lotniska wojskowego na cywilne wyceniono na 70 mln zł. Kasa miała pochodzić z Unii Europejskiej, od prywatnych inwestorów oraz budżetu miasta Radom, no i ze środków województwa mazowieckiego.

Roboty ruszyły w roku 2007. Miasto Radom przekazało podówczas portowi lotniczemu 22 mln zł. A potem znowu i znowu. W lipcu 2013 r., gdy robota była na ukończeniu, lotnisko dostało od miasta 25,2 mln zł – miało za to przeżyć następne dwa lata. Nie udało się. Rok później port lotniczy musiał wyciągnąć od miasta kolejny szmal. Tym razem w formie pożyczki na kwotę 18 mln zł.

Pieniądze były niezbędne, bo zarządzająca lotniskiem spółka zatrudniała 141 pracowników. Pracownicy ci zaś

Całkiem Poryte Kuriozum

Ludzie mają różne fetysze. Jedni lubią pejcze i korki analne, drudzy oglądanie TV Republika. Jeśli dany fetysz jest fetyszem osobistym, to w sumie jest to prywatna sprawa każdej i każdego z nas. Inaczej rzecz się jednak ma z fetyszami społecznymi i politycznymi, dotykającymi także osoby, które im nie uległy; dziwacznych upodobań innych nie podzielają, lecz ponoszą ich słone konsekwencje.

Premier Tusk w ostatnich dniach objawił się jako fetyszysta liczby sto. Może to podświadome, więc tym bardziej silne, bo w epoce minut doliczanych do czasu haratania w gałę mecze piłkarskie na Euro zwykle trwają właśnie sto minut. Lider uśmiechniętej Polski parę miesięcy temu mamił wizją stu konkretów na sto pierwsze dni swoich rządów. Teraz dokładnie sto minut ma trwać podróż pociągiem między głównymi polskimi miastami. Aby to osiągnąć, prawdziwe pociski na szynach mają mknąć z prędkością 300-320 km/h.

Powinno to ucieszyć PiS, bo będzie oznaczać, że pociągi u nas będą znacznie szybsze niż w Niemczech. Czyli nie będzie Niemiec pluł nam w twarz. Tym bardziej, iż (wedle zapowiedzi Tuska), „możemy myśleć realistycznie, że LOT stanie się firmą, no nie tak dużą jak Lufthansa, ale mniej więcej tego rzędu".

Przy okazji Tusk wskazał, niczym kapitan okrętu płynącego po niespokojnych wodach, kierunek: Polska stać ma się megalopolis. A to dzięki sieci szybkiej kolei i autostradom. Uspokajam: nie będzie żadnego megalopolis, będzie tylko rozdęta megalomania kolejnego szefa polskiego rządu, oderwanego od realiów i śniącego sny o potędze, gdy za oknem rzeczywistość skrzeczy.

Megalopolis to oczywista ściema, ale koszty poronionych pomysłów będą rzeczywiste. I liczone w miliardach, a konkretnie – jak informuje pełnomocnik rządu ds. CPK, Maciej Lasek – będzie to

eprasa.pl 08b6638fa7

niespecjalnie się przepracowywali. Przez rok po otwarciu, w Radomiu nie wylądował nawet jeden rejsowy samolot. Nie wystartował zresztą też.

Latem 2015 r. coś drgnęło. Linie Air Baltic uruchomiły połączenie Radom – Ryga. Cóż, poza inauguracyjnym lotem, z którego skorzystali przedstawiciele urzędu miejskiego, radni i grupa dziennikarzy, pozostałe loty jakoś nie cieszyły się powodzeniem. Po niecałym tygodniu linie odwołały dwa loty. Nic dziwnego, bo samolotem do Rygi latały pojedyncze osoby. Wrócono co prawda do trzech, a nawet czterech połączeń tygodniowo, ale na krótko. Air Baltic skończył bowiem współpracę z radomskim lotniskiem.

Dokładnie tak samo zrobiły linie Czech Airlines. Czesi uruchomili połączenia do Pragi, by niecały miesiąc później – bez wypowiedzenia – zakończyć kooperację z Radom Airport.

141-osobowa obsługa radomskiego lądowiska wciąż jednak pracowała. Budowa i utrzymanie portu lotniczego w Radomiu kosztowało ponad 125 mln zł. W końcu, w 2017 r. lotnisko odwiesiło zawieszoną działalność. A to dlatego, że krajem rządziło już PiS. Partia Kaczyńskiego nie zauważyła, że pomysł z lotami z Radomia był bez sensu i brnęła w bzdurę coraz głębiej. Najpierw zmuszono państwowe Polskie Porty Lotnicze do kupienia aeroportu w Radomiu za ułamek tego, co zapłacił za lotnisko samorząd, konkretnie zaś za 12,7 mln zł. Potem wpakowano niemal miliard złotych, żeby lotnisko zbudować na nowo. No i zbudowano – PiS dotrzymało słowa. Zbudowano w Radomiu lotnisko, żeby mogły tam startować dwa samoloty dziennie. Tyle bowiem lotów udało się załatwić w czasie ponad pięciu lat budowy portu lotniczego, który uruchomiono w kwietniu zeszłego roku.

Przez tydzień funkcjonowania nowo otwartego lotniska odprawiono tam tylu podróżnych, ile Okęcie odprawia w ciągu 45 minut.

Potem było lepiej. Do końca 2023 r. podróżnych przez Radom przewinęło się ponad 103 tys. Odległe o niespełna 100 km Okęcie odprawia tyle w półtora dnia.

Tytani deficytów

Port Lotniczy Mazury Olsztyn ruszył w 2016 r. A jak wskazuje nazwa – jest w Szymanach. Szymany są od Olsztyna oddalone o jakieś 60 km.

Na lotnisku występuje betonowy pas startowy, który ma 2,5 km i mogą tu lądować Airbusy i Boeingi średniego zasięgu. Jest i terminal, swoją architekturą nawiązujący ponoć do żurawia w locie. Ma prawie 7 tys. mkw, jest przestronny, klimatyzowany no i ma strefę dla VIP-ów.

Port w Szymanach jest w stanie obsłużyć rocznie pół miliona podróżnych i takiego ruchu twórcy spodziewali się po 10 latach. Po dwóch latach miało być 100 tys. pasażerów. Przez pierwszy rok przez Szymany przewinęło się ledwie 47 tys. pasażerów. Po dwóch latach – ponad 100 tys.

Koszt budowy portu lotniczego w Szymanach to 205 mln zł. Unia dała 121 mln zł, pozostałą kwotę dołożył samorząd wojewódzki. Od tamtej pory, z powodu notorycznych strat portu lotniczego, dokłada grube miliony. W tamtym roku ok. 25 mln zł.

Do 10 lat działalności brakuje już tylko półtora roku. Na zamierzone 0,5 mln pasażerów nie ma co liczyć. Przez cały zeszły rok przewinęło się ich przez lotnisko nieco ponad 142 tys.

Lotnisko Lublin pobiło w zeszłym roku rekord frekwencji. Przepuściło przez siebie 399 tys. pasażerów.

Mimo tego, Lotnisko Lublin miało stratę ponad 32 mln zł. Fachowcy od latania twierdzą, że lotnisko o parametrach Lublina, obsługujące w większości linie niskokosztowe, chcąc wyjść na swoje, w ciągu roku musi odprawiać przynajmniej milion, a nawet 1,5 mln pasażerów.

Bruksela od 2014 r. wstrzymała finansowanie infrastruktury lotniczej. Decyzja została podjęta, kiedy okazało się, że dziesiątki europejskich lotnisk, które powstały dzięki ambicjom samorządowców, splajtowały i dziś niszczeją. Od lat w branży lotniczej mówi się o tym, że otwieranie lotnisk w mniejszych miejscowościach jest bez sensu. Niemcy mają 13 takich regionalnych portów m.in. w Kassel, Rostocku i Lubece. Wszystkie generują straty – od kilku do kilkunastu milionów euro rocznie. A przecież Niemców stać na latanie bardziej niż mieszkańców Polski Wschodniej.

A do tejże Polski jest – nie wiedzieć czemu – zaliczane województwo świętokrzyskie.

Ponad dekadę temu władze Kielc wydały na wykup terenów pod budowę lotniska ok. 30 mln zł. Na szczęście na tym się skończyło, bo lotniska nie ma. Może dlatego, że z Kielc do Radomia jest niecałe 80 km, a do krakowskiego lotniska Balice trochę ponad 100.

Ale w Białymstoku jest. W maju 2020 r. lotnisko na Krywlanach otrzymało certyfikat Urzędu Lotnictwa Cywilnego, dzięki któremu małe samoloty – do 30 pasażerów – mogły już oficjalnie korzystać z części asfaltowego pasa startowego o długości 1350 m. Budowa pasa i przygotowanie dokumentacji kosztowały Białostocczan ok. 46 mln zł. Ale dzięki temu miasto na swojej stronie może się chwalić, że ze względu na nośność jego konstrukcji lotnisko w Białymstoku mogłoby przyjąć samoloty dwa razy cięższe niż np. w Suwałkach. Naprawdę!

W Suwałkach też bowiem samorząd wysupłał miliony i strzelił sobie port lotniczy. Niestety, ani na jednym, ani drugim pasie nie ląduje nic, czym normalny człowiek mógłby się przelecieć – choć przed budową zarządzająca lotniskiem Krywlany spółka Aero Partner przekonywała, że lotnisko to prosta droga do poprawy dostępności poszczególnych regionów do infrastruktury i rynku lotniczego przy braku konieczności ponoszenia strat z tytułu funkcjonowania portu lotniczego.

Dekadę temu portal pasazer.com wyliczył, że w latach 2006–2013 z kas samorządów wpompowano w linie lotnicze ponad 140 mln zł. Podawano przykład dochodowego wszak lotniska w Gdańsku, które za paroletni kontrakt marketingowy z Ryanairem i Wizz Airem wywalało rocznie na reklamę u obu przewoźników 10 mln zł. Katowickie Pyrzowice wkładały do kieszeni Wizz Airowi 6 mln zł rocznie. Też za reklamę. Lotnisko w Poznaniu nie dopłacało. Przynajmniej samo. Wyręczało się bowiem w tym Wielkopolską Organizacją Turystyczną, która za 30 tygodni reklamy zapłaciła Wizz Airowi ponad 1,5 mln zł brutto.

Do dziś nic się nie zmieniło. Samorządy, nie dość, że dopłacają do deficytowych lotnisk, których są współwłaścicielami, to muszą wydawać dziesiątki milionów po to, żeby jakieś linie lotnicze łaskawie skorzystały z ich portu lotniczego. Oficjalnie te pieniądze nie są jednak łapówkami, ale kasą za promocję regionu.

Ale przynoszące straty i zmuszone do płacenia haraczy lotniska regionalne to według Tuska skarb narodowy.

TADEUSZ JASIŃSKI

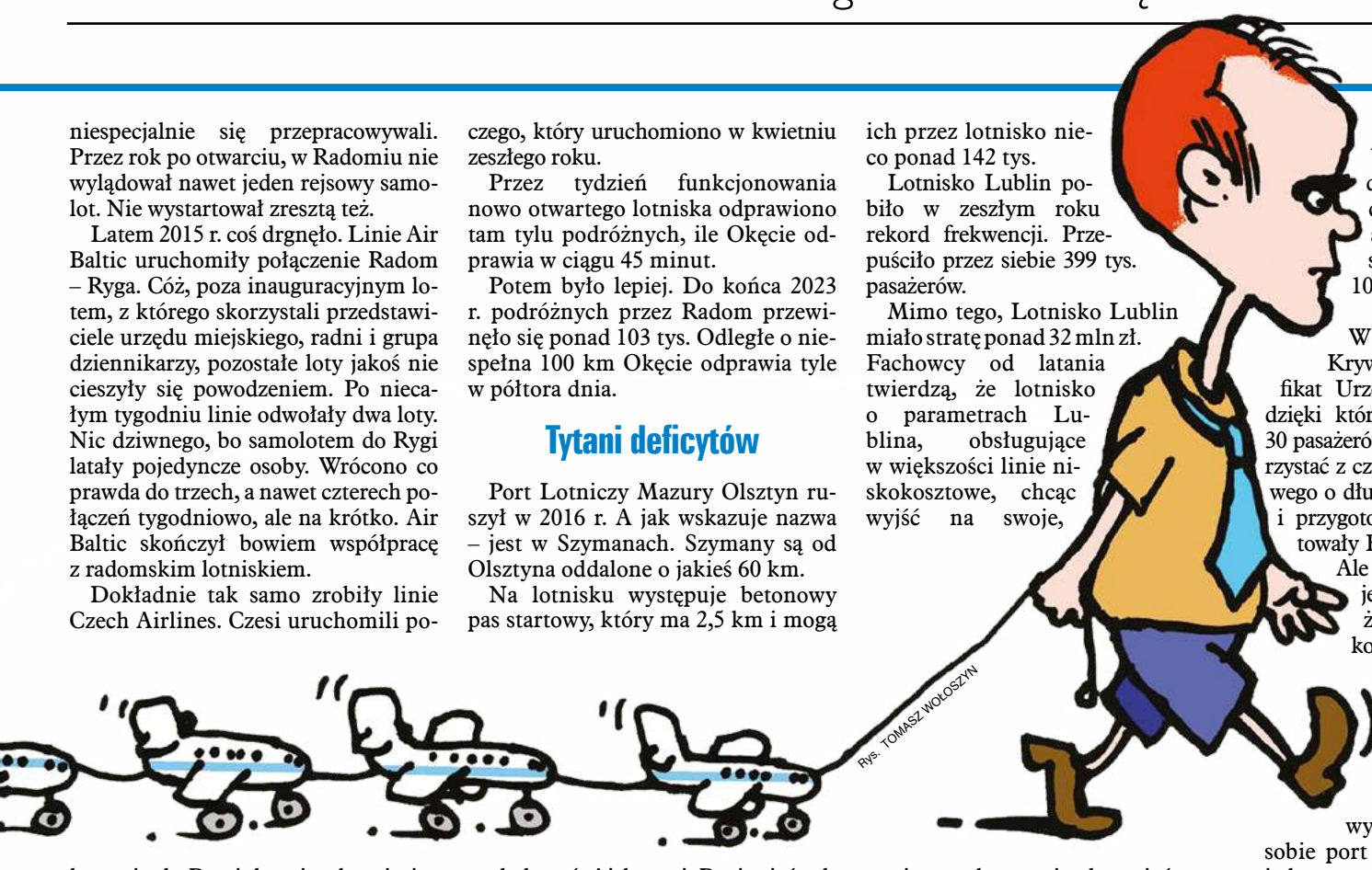

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

W zeszłym roku polskie lotniska obsłużyły ponad 52,4 mln pasażerów. Najwięcej przemieliło Warszawskie Okęcie, czyli lotnisko Chopina. Skorzystało zeń ponad 18,5 mln podróżujących. Na drugim miejscu uplasował się Kraków, miał 9,4 mln pasażerów. Gdańsk prawie 6 mln. Trójmiejskie lotnisko wypracowało w zeszłym roku ponad 45 mln zł. zysku netto. Z Katowic skorzystało 5,6 mln podróżnych. Wrocław zaliczyły niemal 4 mln. Modlin ma się rewelacyjnie z 3,4 mln pasażerów. Na przychody nie może też narzekać Poznań z 2,8 mln podróżnych.

Stawkę samofinansujących się lotnisk zamyka Rzeszów z ponad milionem.

Pod kreską są: Bydgoszcz – 366 tys. pasażerów, Szczecin – 477 tys., Łódź – 356 tys., Lublin – 399 tys., Szymany – 142 tys., Radom – 103 tys. i Zielona Góra – 53 tys.

Łódź dołożyła w 2023 r. do lotniska ok. 40 mln zł. Lublin – 30 mln zł. Olsztyn – 25 mln zł. Szczecin i Bydgoszcz po ok. 15 mln zł. Straty Radomia szacuje się na ponad 25 mln zł. Zielonej Góry – nie wiadomo, bo biorą je na siebie PPL, gdzie zyski generuje choćby Lotnisko Chopina, ale samorząd lubuski i tak do lotniska dokłada 30 mln zł rocznie.

Setka – fetysz Tuska

131 mld zł do 2032 r. Najwięcej, bo ok. 80 mld, ma kosztować część kolejowa. Lotniskowa – prawie 43 mld zł.

Stawiam moją roczną pensję przeciwko biletowi ze zniżką dla nauczyciela akademickiego na pociąg regionalny między Wrocławiem i Opolem (czas jazdy tych 82 km bywa dłuższy niż sto minut), że im bardziej Tusk będzie zdeterminowany, by zrealizować swój pomysł, tym bardziej Polska stanie się zacofanym krajem. I skrajnie nieegalitarnym, z ostrym podziałem na wysepkę bogactwa i wygody na morzu codziennej udręki i frustracji.

Kolejowy zawrót głowy

Karol Trammer, autor książki „Ostre cięcie. Jak niszczono polską kolej" i redaktor naczelny czasopisma „Z Biegiem Szyn", zwraca uwagę, że pomysł Tuska na kolej wpisuje się w słynny już igrek, czyli linię biegnącą od Warszawy do Wrocławia i Poznania. Zgoda na linię w kształcie Y wynika po prostu z faktu, że po 1945 roku nie powstała magistrala łącząca stolicę, największe polskie miasto, z metropolią numer trzy, czyli Wrocławiem. Nie wszystko jest jasne, ale zdaje się, że obecna koalicja stawia na modernizację istniejących linii kolejowych.

Przy czym wyrażenie „zdaje się" jest na miejscu, bo – wyjaśnia Trammer portalowi Money.pl – „nie przedstawiono szczegółów dotyczących docelowych parametrów prędkości i warunków ich osiągnięcia. Premier mówił, że maksymalna prędkość wynieść ma 300–320 km/h, ale jej uzyskanie nie jest możliwe na istniejących liniach, nawet po modernizacji".

Ekspert kolejowy zwraca również uwagę na pewne istotne niedopowiedzenie. Tusk na konferencji prasowej przedstawiał – z dokładnością co do minuty! – czas przejazdu na trasach łączących Warszawę z innymi miastami, nie zająknąwszy się nawet, ile zajmie podróż np. z Poznania do Trójmiasta czy z Wrocławia do Szczecina. Zastanawia go też fetysz maksymalnej prędkości, do jakiej rozpędzać się mają pociągi, choć w polskich realiach ogromne znaczenie ma przepustowość, możliwość sprawnego poruszania się do i z węzłów kolejowych.

Trammer punktuje: „Dotychczas efekty przyspieszenia ruchu na linii między miastami były pożerane przez problemy z przejazdem przez węzły, wydłużone postoje na stacjach pośrednich, wynikające z problemów z przepustowością. Istnieją punktowe wąskie gardła, które wpływają na całościowy czas przejazdu i psują efekty zmodernizowania linii do 160 km/h czy 200 km/h".

Tanie drogie loty

Do rozpuku bawi mnie pierdolenie partii obecnej koalicji rządowej o „Polsce samorządowej", takiej blisko spraw lokalnych i zwykłego człowieka, jego codziennych spraw. Oczywiście, nie jestem cyniczką i nie wiążę tego z faktem, że owe partie – zwłaszcza Koalicja Obywatelska w dużych miastach i PSL na prowincji – okopały się w samorządach, które traktują jak udzielne księstwa, urodzajne pole marnotrawstwa publicznego grosza i lekko tylko zawoalowanego złodziejstwa.

Tusk w swej megalomańskiej wizji megalopolis widzi miejsce dla lotnisk regionalnych, które nie są niczym innym niż przepompownią publicznej kasy do kieszeni bogatych (skądinąd głównie zagranicznych) przewoźników lotniczych. Oto pierwszy, zresztą skandaliczny, przykład z brzegu, a konkretnie platformerskiego bastionu (ponad 38 proc. głosów w ostatnich wyborach samorządowych), województwa kujawsko-pomorskiego.

Parę miesięcy temu gruchnęła wiadomość, która w wojnie PO i PiS niesłusznie utonęła. Ryanair otrzyma od samorządu wojewódzkiego 33,3 mln zł na promocję regionu. Promocja to będzie (dosłownie!) nie z tej ziemi – przewoźnik lotniczy co najmniej raz na trzy miesiące wyśle do minimum ćwierć miliona swoich klientów maila z ofertą turystyczną kujawsko-pomorskiego. Banery województwa trafią na stronę internetową Ryanaira, a nawet na całe dwa samoloty.

Czy zatem kogoś nie pojebało?! I tak, i nie.

Irlandzki przewoźnik zobowiązał się za tę górę kasy, że będzie miał pięć destynacji do i z lotniska Bydgoszcz-Szwederowo. Oczywiście, oficjalnie nie jest to niedozwolona dotacja ani wsparcie dla jakiejkolwiek firmy – samorząd kujawsko-pomorski podpisał też umowy z LOT-em i Wizz Airem – ale działalność promocyjna.

Lubuskie, kolejny bastion platformersów, ma duże kompleksy, bo lotnisko Zielona Góra-Babimost wzbudza takie zainteresowanie pasażerów jak szczerbata dziwka z tryprem i wrzodami u klientów burdeli. Zwykle obsługuje parę tysięcy osób miesięcznie. Ale przecież pieniądze podatników trzeba wykorzystać na „promocję", konkretnie promocję lotów do Krakowa, Gdańska i chorwackiego Zadaru. I tu robi się jakby luksusowo, bo do każdego fotela w samolocie mieszkańcy lubuskiego będą dopłacać od 300 do 750 zł.

Oczywiście, gwoli prawdy, tam gdzie chodzi o przewalanie pieniędzy podatników istnieje między politykami wszystkich opcji pełna zgoda – toteż np. podkarpackie dziesiątkami milionów złotych tuczy Ryanaira, który dzięki temu lata z lotniska Rzeszów-Jasionka.

Trzy razy „nie"

Najnowsze Tuskowe pomysły związane z CPK i w ogóle systemem transportowym można ująć w formule: trzy razy „nie". Są nieekonomiczne, nieekologiczne i niemoralne.

Nieekonomiczne, bo nie jest jasne, skąd na to wszystko wziąć pieniądze. Jeszcze kilka miesięcy temu, gdy obecni włodarze kraju starali się dopchać do żłobu, ten – ważny i nie do obalenia – argument był przez nich podnoszony w tyradach przeciwko CPK. Energochłonne rozwiązania rodzą oczywiste pytanie, czy będą one wliczone w cenę biletu (np. na szybką kolej – wtedy pociągi będą jeździć na pół puste), czy też zapłacą za nie wszyscy, włącznie z tymi, którzy gnieżdżą się w busikach, bo połączenie kolejowe zlikwidowano trzy dekady temu.

A teraz proponuje się CPK na sterydach, sugerując, że lada chwila staniemy się pierwszoligowym w skali świata krajem. Czy mamy na to papiery? Nie sądzę. Czy nie próbujemy bić się w kategorii ciężkiej, gdy ledwo się mieścimy w średniej? Z pewnością.

Nieekologiczność to kolejna fanga w nos, jaką dostajemy od rządzących. To nie jest tak, że pociąg, który jeździ 320 km/h. zużywa nieco więcej energii od tego, który porusza się z prędkością 200 km/h. Gdyby historyk Tusk uważał na lekcjach przedmiotów ścisłych, wiedziałby, że przyrost zużywanej energii wraz z przyrostem prędkości rośnie wykładniczo. Skrajnie nieekologiczne jest też pogłębianie podziałów między stolicą i dużymi miastami a prowincją, odciętą od publicznego transportu kolejowego.

Niemoralność sprowadza się koniec końców do tego, że gdyby zrealizowano dziwaczne pomysły Tuska, to mielibyśmy wąską kastę hiper-mobilnych ludzi, całkowicie odklejoną od miejsc, gdzie fizycznie mieszkają, i masę wykluczonych transportowo, którzy ugrzęzną do końca życia w tych swoich pipidówkach. Ludzi klasy C, poruszających się zdezelowanymi 30-letnimi oplami, aby jakoś dotarabanić się do większego miasta, gdzie jest jakakolwiek robota. Gdyby los zwykłych ludzi obchodził uśmiechniętą koalicję, za ułamek pieniędzy wydanych na faraońskie megaprojekty naprawdę ulżyliby niedoli wielu milionom Polaków.

Poroniona idea megalopolis, miejmy nadzieję, nigdy się nie urzeczywistni. To prawdziwe CPK: Całkiem Poryte Kuriozum, a może nawet Kur(w)iozum. Wszystko wskazuje na to, że lepiej dla wszystkich byłoby, gdyby premier Tusk nie był fetyszystą liczby 100, lecz np. 69, przy czym – rzecz jasna – nie idzie mi o nowy wiek emerytalny…

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 08b6638fa7

Prawa osób LGBT to niechciane dzieci koalicji

Zwisające związki

Będzie tak: o równości małżeńskiej nie ma mowy, najwyżej związki partnerskie, ale bez przysposobienia dzieci, bez przyjmowania wspólnych nazwisk, bez ceremonii w urzędzie stanu cywilnego. Tako rzecze PSL. A parom jednopłciowym, które wspólnie wychowują dzieci jednego z partnerów, radzi ustami Marka Sawickiego, by się zabezpieczyły u notariusza. To nawet nie jest policzek w twarz dla wszystkich środowisk LGBT. To walnięcie z piąchy prosto w nos.

Gadać z PSL-em to jakby plewy młócił. Do polityków partii ludowej nic nie dociera. Od początku istnienia koalicji wiadomo było, że to właśnie ta formacja będzie najsłabszym ogniwem, jeśli chodzi o przygotowanie ustawy o związkach. Jednak w ciągu ostatniego miesiąca z całą mocą wybuchły bigoteria, homofobia i zajadłość PSL-u.

PSL zabetonowany

Można zrozumieć, że PSL to partia niespecjalnie grzesząca nowoczesnością poglądów. Można zrozumieć, że ludowcy boją się przysposobienia dzieci w związkach jednopłciowych, bo z własnej ignorancji mylą to z adopcją. Trudniej już zrozumieć to, że swoją niezgodę na przysposobienie dzieci tłumaczą konstytucją, która rzekomo tego zabrania. Nie zabrania, co do znudzenia powtarzają konstytucjonaliści. Swego czasu zwracał na to uwagę nawet Zbigniew Ziobro, sugerując, że trzeba właśnie zabronić (oczywiście pod pretekstem ochrony rodziny) przysposobienia dzieci w parach jednopłciowych, bo w konstytucji jest w tym względzie luka.

Ale w ogóle już nie da się zrozumieć, co ludowcom przeszkadza, że zawarcie związku partnerskiego odbędzie się w odpowiedniej oprawie w USC, a jeden z partnerów przyjmie nazwisko drugiego? Tu nie ma żadnego uzasadnienia dla sprzeciwu i trudno uwierzyć, że kryje się za tym coś innego niż zwykła bigoteria.

Na miano betonowej konserwy zasługują, niestety, także ci, którzy wśród ludowców mają być głosem rozsądku, wyważenia i w miarę liberalnych poglądów. Wiceprezeska PSL Urszula Pasławska (uchodząca właśnie za sprzyjającą ustawie, stojącą po stronie społeczności LGBT) napisała na facebooku: „W XXI wieku kwestia związków nieformalnych jest ważna. Państwo powinno tworzyć ułatwienia dla ludzi takie jak wspólne rozliczenia, dostęp do informacji w szpitalach, dziedziczenie majątku. I to możemy teraz skutecznie załatwić. Musimy jednak działać ze zdrowym rozsądkiem i chłodną głową, bo otwarte pozostaje pytanie, czy społeczeństwo jest gotowe na dalej idące zmiany”.

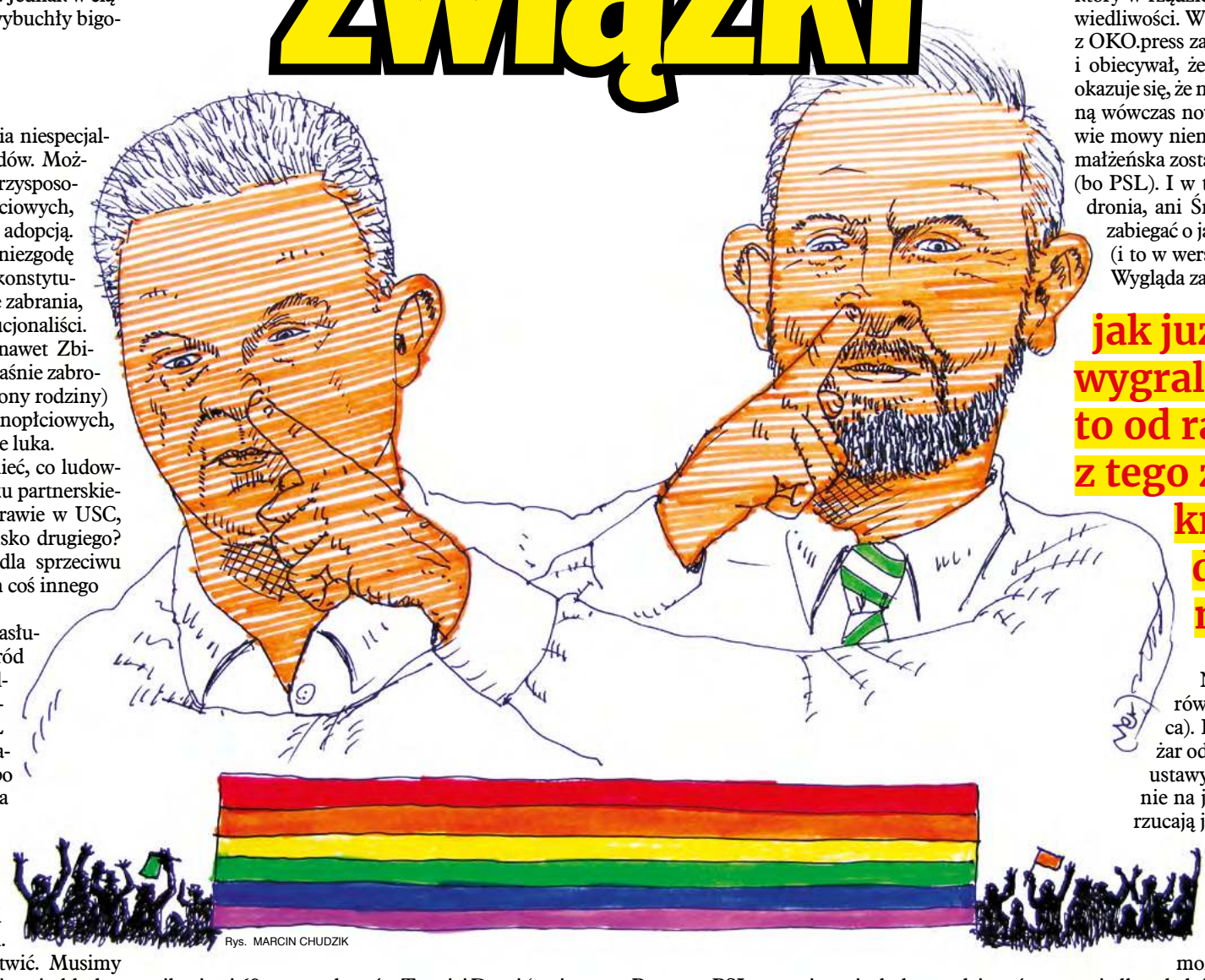

Rys. MARCIN CHUDZIK

Niegotowi i wrażliwi

Ulubiony przez konserwatystów koncept, że społeczeństwa nigdy na nic nie były, nie są i nie będą gotowe, nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. Jest jednak zawsze wygodnym argumentem dla polityków, którzy na coś nie chcą się zgodzić.

To nie społeczeństwo jest niegotowe, tylko politycy, którzy rzekomą niegotowością społeczeństwa usiłują maskować swoją bigoterię, ksenofobię, a w tym przypadku także homofobię oraz zwyczajne zacofanie mentalne. Polskie społeczeństwo nie ma problemu z prawami osób LGBT. To problem PSL-u, który – jak na partię chłopską przystało – tkwi głęboko we wsi polskiej. Wsi XIX wieku. Przeprowadzane ostatnio sondaże w kwestii związków jednopłciowych są dla PSL-u miażdżące. Z opublikowanego w kwietniu badania Ipsos dla OKO.press, TOK FM, Kampanii Przeciw Homofobii (KPH) i Stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza wynika, że aż 69 proc. wyborców Trzeciej Drogi (a więc i PSL) jest za możliwością przysposobienia dzieci w związkach jednopłciowych. Tylko 21 proc. jest przeciwnych, w tym jedynie 6 proc. zdecydowanie. Mało tego, „za” opowiadają się nawet wyborcy PiS (55 proc. „za” przy 35 proc. „przeciw”). Problem nie leży więc w społeczeństwie, tylko w głowach dziadersów z PSL.

A broni ich także uchodzący wśród ludowców za liberała świeżo upieczony europoseł Krzysztof Hetman. W ubiegłą niedzielę w programie „Kawa na ławę” w TVN24, podkreślając swoją przynależność do liberalnego skrzydła partii, zaczął gadać o konieczności uwzględniania „wrażliwości koleżanek i kolegów” konserwatystów. Jasne! Wrażliwość kilku milionów osób LGBT czekających na przyzwoitą ustawę o równości małżeńskiej, uchwaloną bez łaski, musi ustąpić przed wrażliwością niespełna 30 konserwatywnych posłów PSL. W dodatku dowiedzieliśmy się od europosła Hetmana, że wszyscy w PSL-u „są za tym, żeby ułatwiać ludziom życie”. Jak godzą „ułatwianie życia” z odmawianiem wykluczanej mniejszości należnych jej praw, europoseł nie wyjaśnił.

Postawy PSL-u można się było spodziewać – przewidzieliśmy to w październiku ubiegłego roku („Tęcza w czarnej dupie”, „NIE”, nr 43/2023). Zaskakująca jest natomiast postawa lewicy.

Kłody pod nogi

Prominentni lewicowcy nie robią nic, by dotrzeć do ludowców z jakimś edukacyjnym przesłaniem. Mało tego: lewicowi politycy, gdy dochodzi do dyskusji o ustawie, w ogóle nie wiedzą, o czym mówią. Włodzimierz Czarzasty w „Kropce nad i” nie był w stanie odpowiedzieć na pytania Moniki Olejnik o postulaty środowisk LGBT. Jąkał się tylko o „dziedziczeniu” i „odwiedzaniu się w szpitalu”, twierdząc, że skoro – jak chce PSL – nie ma mowy o przysposobieniu dzieci, no to mamy konsensus.

Nie pomaga też Anna Maria Żukowska, wtrącając co chwila swoje trzy grosze, które trzeba potem wyjaśniać, prostować, uzupełniać.

Najbardziej do pieca dołożył Marek Balt, były już europoseł lewicy, który wyznał w „Rzeczpospolitej”: „Jesteśmy w przededniu rewolucji związanej z rozwojem sztucznej inteligencji i robotyzacji. A my się stale zajmujemy aborcją i związkami partnerskimi”.

I to jest święta racja, choć mamy wrażenie, że nie to akurat miał pan Balt na myśli. Bo gdyby lewica – która, zdaje się, po 1989 r. troszkę w Polsce rządziła – załatwiła te sprawy w przeszłości, dziś nie trzeba by o nich mówić. A że zabrakło odwagi i koniecznie trzeba było się oglądać na (o, ironio!) PSL... Być może nie pamięta pan, panie były europośle, że tak ze dwie dekady temu był projekt ustawy autorstwa prof. Marii Szyszkowskiej, który SLD sam sobie storpedował.

Zastanawiające też, gdzie w tej całej jatce o związki są Robert Biedroń i Krzysztof Śmiszek. Pierwszy z nich to przecież weteran ruchu LGBT w Polsce. Zasług w tej dziedzinie trudno mu odmówić. Śmiszek to też znany i ceniony aktywista LGBT, który w rządzie Tuska został wiceministrem sprawiedliwości. W tej roli, w lutym 2024, w rozmowie z OKO.press zapowiadał, że wie, co trzeba zmienić i obiecywał, że rząd wszystko naprawi. Teraz zaś okazuje się, że nie tylko nie zanosi się na zapowiadaną wówczas nowelizację Kodeksu karnego w sprawie mowy nienawiści (bo PSL), ale także równość małżeńska zostanie sprowadzona do jakiejś protezy (bo PSL). I w tym wszystkim nie ma już ani Biedronia, ani Śmiszka. A powinni być i osobiście zabiegać o jak najszersze poparcie dla tej ustawy (i to w wersji maksimum) wśród koalicjantów. Wygląda zaś na to, że

jak już chłopcy wygrali eurowybory, to od razu się zwinęli z tego zatęchłego kraju i wyjechali do Brukseli na lody.

Najbardziej żal pani minister od równości Katarzyny Kotuli (też lewica). Robi, co może, ale nie dość, że ciężar odpowiedzialności za kształt i losy tej ustawy został złożony właściwie wyłącznie na jej barki, to jeszcze kumple z partii rzucają jej kłody pod nogi.

Wydaje się, że ustawa o związkach partnerskich staje się niechcianym dzieckiem koalicji, a prawa osób LGBT generalnie wszystkim w tej koalicji – no, może poza ministrą Kotulą – zwisają zwiędłym kalafiorem.

Premier Donald Tusk też za bardzo się sprawą nie przejmuje i raczej przygląda się rozwojowi wydarzeń, niż coś robi. Choć przecież to także jego obietnica wyborcza i jeden z punktów stu konkretów na sto dni.

Wkurw w środowiskach LGBT, a przynajmniej tej bardziej aktywnej ich części, sięga w tej chwili zenitu. Stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza już jakiś czas temu zainicjowało akcję wysyłania maili do posłów PSL-u. Społeczność wysłała ich ponad 30 tys. Nikt nie odpowiedział. Były też prośby o spotkania polityków z aktywistami i tęczowymi rodzinami – bezskuteczne. A dziś posłowie PSL próbują się bronić, że właściwie to nie mogą rozmawiać o ustawie, bo nawet nie znają do niej założeń. I to mimo zapewnień minister Kotuli, że wszyscy je otrzymali.

Wkurw rośnie. Niewykluczone, że – jak zapowiadają już niektórzy aktywiści – skończy się to na ulicy. Choć to raczej sprawa beznadziejna – to jednak nie to samo, co aborcja i raczej tłumów nie porwie.

EDYTA BAKER

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Dzisiaj partia jest religią. Ma swojego przywódcę, ma swoją ideologię, ma swój kult.*** *Są kapłani, którym oddaje się „cześć” i dlatego trzeba chrześcijaństwo wyrugować. Tylko, że* ***chrześcijaństwo daje nadzieję życia wiecznego, natomiast partia życie tylko tu i teraz.*** *(…) Kościół jest naszą matką wspólną, tym dobrodziejstwem, które nam Chrystus dał w drodze ku wieczności. Dlatego z Kościołem diabeł będzie zawsze walczył, żeby nam zabrać tę wspólnotę, której na imię Kościół.*

ks. dr hab. Krzysztof Bielawny, TV Trwam, 24 czerwca

■ ***Zbiorowa, zorganizowana, bez przerwy powtarzana nagonka na o. Tadeusza Rydzyka CSsR to jedna z najbardziej obrzydliwych cech naszej przestrzeni medialnej. Chodzi o to, żeby uderzyć w pasterza, aby potem rozbiegły się owce.*** *(…) W jednej ze stacji komercyjnych, takich brutalnych i agresywnych, jest materiał „32 lata bezkarności. Fenomen ojca Tadeusza”. Bezkarność to pojęcie, którego możemy użyć w stosunku do osoby, jaka powinna ponieść jakąś karę, czyli popełniła przestępstwo, a mówimy o powszechnie szanowanym zakonniku, który sam nie ma majątku i funkcjonuje skromnie, pracując dla Polski i Kościoła. (…)* ***To rodzaj panświnizmu – taka teza została kiedyś sformułowana przez Jerzego Urbana. Mówi ona, że każdego trzeba utytłać, każdemu trzeba dopisać najniższe możliwe intencje, instynkty i pragnienia. (…) To klasyczna operacja prowokacji, oszustwa. Musimy to odrzucić.*** *Musimy mieć świadomość, jak te mechanizmy działają. Pamiętajmy, że wszystko co powstaje przy Kościele, a także w mediach, ma wymiar ekonomiczny.*

red. Michał Karnowski, Radio Maryja, 22 czerwca

■ *Niestety polskość w wydaniu tradycyjnym, szczególnie wśród osób ideologicznie uwarunkowanych liberalizmem czy kosmopolityzmem unijnym, ma się roztapiać w europejskości. Pamiętajmy, że w postmodernistycznym podejściu mamy do czynienia z ahistoryzmem, czyli odcinaniem narodów od ich tradycji i od dumy z własnej przeszłości i kultury. (…) Widać zatem doskonale, jak ideologia wkracza w przekaz historyczny. (…)* ***To wszystko dzieje się po to, by to, co katolickie i narodowe nie było elementem przekazu, ale by stało się nim to co jest kosmopolityczne ideologiczne, co wiąże się z rewolucją seksualną.***

Prof. Mieczysław Ryba, PCh24.pl, 26 czerwca

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

■ *Najmądrzejszą i najbardziej* ***popularną tradycją pogańską jest nawrócenie na chrześcijaństwo.*** *Neopoganom życzę, by jak najszybciej to pojęli.*

ks. Daniel Wachowiak, X, 27 czerwca

■ *W chaosie zmian bardzo ważne jest pokazanie wartości, misji szkoły i nauczyciela.* ***Religia to nie tylko wiedza, czy klucz do zrozumienia kultury europejskiej.*** *To również pokazanie, że jest dobro i zło, że są zasady.* ***Na jakim przedmiocie będziemy uczyć o dekalogu, szacunku do bliźniego, zasadach życia społecznego?*** *Nie można z tego rezygnować!*

bp Piotr Turzyński, Deon.pl, 29 czerwca

eprasa.pl 08b6638fa7

Odpały Radka S.

Szef polskiej dyplomacji na froncie walki z ruskimi

Pod koniec czerwca Radosław Sikorski wygłosił wykład w Anglii – a konkretnie w znajdującej się nieopodal słynnego Oxfordu posiadłości Ditchley Park będącej siedzibą Ditchley Foundation (DF). Jak wiadomo, człowiek ze wsi wyjdzie, ale wieś z człowieka nie – toteż mąż Anne Applebaum, wychowany w kręgach amerykańskich neokonserwatystów nienawidzących najpierw Związku Radzieckiego, potem Federacji Rosyjskiej, wrócił do swych jastrzębich, zimnowojennych klimatów. O ile kiedykolwiek od nich odszedł.

Sikorski zapomniał, że jest szefem polskich dyplomatów, a za wschodnią granicą toczy się wojna.

Marzy mu się totalne starcie z dzisiejszą Rosją, bo wydaje mu się, że Putin jest łagodny jak Gorbaczow i nigdy w wyścigu zbrojeń nie sięgnie po ostateczny argument w postaci bomb termonuklearnych.

A, było nie było, zjadliwy nacjonalizm wielkoruski to nie to samo, co jakoś tam, z czasem, humanizujący się komunizm radziecki.

Racją stanu Rzeczypospolitej jest łagodzenie napięć w relacjach Zachodu z Rosją, bo możemy stać się krajem frontowym. A jeśli nasz nowy Wielki Brat może osłabiać Putina walcząc aż do ostatniego Ukraińca – skąd pewność, że nie jest gotów poświęcić życia Polaków?

Sikorski, ale jastrząb

Minister spraw zagranicznych RP pouczył Anglię, iż (cytujemy za TVN24) „musimy na nowo nauczyć się korzystać z gry eskalacyjnej”. Dodał do tego „przykład”: „możemy przejąć wszystkie rosyjskie aktywa państwowe o wartości 300 miliardów euro”. Sikorski wie, że „Putin już spisał je na straty, nie spodziewa się, że je odzyska, ale nie sądzi też, byśmy mieli dość odwagi, by je przejąć”. My zaś, cieniasy, „jak dotąd pokazujemy, że ma rację”. Minister Sikorski nie lęka się, albowiem „Kreml można powstrzymać, a nawet pokonać. Po prostu o tym zapomnieliśmy”. Radek wie, że „musimy zwyciężyć” i nie ma wątpliwości, iż „razem, jako część międzynarodowego sojuszu demokracji, damy radę”.

Szef polskiej dyplomacji odwołał się do idola swojej młodości, znanego z dyplomatycznych talentów prezydenta USA Ronalda Reagana, który mawiał, że jego strategia wobec ZSRR sprowadza się do sloganu: „My wygrywamy, oni przegrywają”. Dodał, że podoba mu się to podejście.

Jeśli o Antku Macierewiczu, skądinąd byłym podwładnym Sikorskiego za rządów pierwszego PiS-u, mówi się, że jest albo obcym (mówiąc wprost: ruskim) agentem, albo szaleńcem – to co można powiedzieć o Radku? Czy istnieje jakaś przedustanowiona zbieżność interesów amerykańskich, jakże bliskich ministrowi spraw zagranicznych RP, z polskimi interesami?

Każdy, kto ma minimalne pojęcie o kręgach rosyjskiej władzy, wie, że pod kremlowskimi dywanami buldogi walczą o schedę po coraz starszym Putinie. Każdy z pretendentów pozuje na choć o 10 procent twardszego od pozostałych – i paru z nich po cichu krytykuje władcę Kremla, że w wojnie z Ukrainą nie sięgnął po broń atomową. Tzw. demokraci i liberałowie przeciętnemu mieszkańcowi Rosji kojarzą się z rozpadem struktur państwowych epoki Borysa Jelcyna, bandytyzmem na ulicach i złodziejstwem na niewyobrażalną skalę. Nie spodziewajmy się, że po Putinie na Kremlu zasiądzie jakiś gołąbek pokoju.

Istotne jest jednak nie tylko to, co szef dyplomacji mówił, lecz i to, gdzie mówił.

W ślady CIA

Powstała w 1958 r. Ditchley Foundation to instytucja brytyjskiego establishmentu powołana na rzecz bliskich relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Nie przez przypadek obecny szef fundacji, James Arroyo, jest dumnym kawalerem Orderu Imperium Brytyjskiego. Arroyo w tekście na stronie DF podkreśla, że wojny i pandemie są lokomotywami historii, lecz to, dokąd pociąg dojedzie, zależy od tego, jak położy się tory – w tym samym kierunku, lecz szybciej, bądź ku przepaści. Celem fundacji, twierdzi Arroyo, jest wskazywanie kierunku przemian, aby równoważyć wolność i porządek.

Sikorski wygłosił uroczysty, doroczny wykład w Ditchley Park. Byle kogo tam się nie zaprasza. Mówcy są wyraźnie sprofilowani.

Dwa lata temu wykładowcą był Tony Blair – uwieczniony na kartach historii jako pudel Busha, który kłamał, aby zaatakować Saddama Husajna; po odejściu w niesławie z Downing Street 10, grubo opłacany konsultant autokratów z Bliskiego Wschodu.

Rok temu wykład dał William J. Burns, szef CIA. Lider amerykańskich szpiegów jebał przywódców Rosji i Chin (za ich „agresywność”), wskazując, że choć pilne są zmagania z tą pierwszą, w dłuższym terminie wyzwaniem jest chińska potęga. Chwalił CIA za używanie social mediów i akcje celowanych zabójstw islamskich terrorystów.

Najciekawsze, że kiedy czyta się teksty wykładów szefa CIA i szefa polskiej dyplomacji – duże ich fragmenty są w zasadzie identyczne. Wnioski z tego niech każdy wyciągnie sam. Jak mawiał gospodarz Anioł w serialu „Alternatywy 4”, mądrej głowie starczy słowo, a głupiemu to i referatu będzie mało.

KAT

Rys. MARCIN CHUDZIK

Holland nawrócona

Oświecenie zdumionej reżyserki.

Już od czasu „Misia” Stanisława Barei wiadomo, że istnieje prawda czasu i prawda ekranu. Przyswoiła to sobie Agnieszka Holland, reżyserka wymierzonego w PiS i dystrybuowanego przed jesiennymi wyborami filmu „Zielona granica”. Na dokładnie tę samą sytuację patrzy zupełnie inaczej, gdy jest sprawką jej wrogów politycznych, a odmiennie, gdy to dzieło dokonuje się w imieniu „demokratów” spod znaku uśmiechniętego serduszka.

Zbigniew Ziobro, zanim zachorzał na poważnie, zdążył na platformie X napisać: „W III Rzeszy Niemcy produkowali propagandowe filmy pokazujące Polaków jako bandytów i morderców. Dziś mają od tego Agnieszkę Holland”. W obronę wzięli ją liberałowie. Stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita nazywało ją „wybitną artystką”, jej film „dziełem” i grzmiało: „Na granicy UE z Białorusią wciąż cierpią i umierają ludzie. (…) Jesteśmy wdzięczni Agnieszce Holland, że budzi naszą społeczną wrażliwość i zrozumienie, że winni jesteśmy solidarność tym, którzy są poniżani, traktowani okrutnie i bezdusznie. Jesteśmy wdzięczni za twórczość będącą krzykiem protestu”.

Po paru miesiącach nowych rządów na granicy z Białorusią niewiele się zmieniło. Dalej są pushbacki, pałowanie ludzi i prześladowanie próbujących im pomóc. Reżyserka zszokowana mówiła o uchodźcach w podcaście „Newsweeka”: „Nie jest tak, że to są anioły i nie ma wśród nich przestępców, czy ludzi skrajnie agresywnych”.

Gdyby pani Agnieszka spytała we właściwym czasie ojca Henryka, komunistę przed- i powojennego, – wiedziałaby, że

idealizowanie i romantyzowanie ciemiężonych nigdy nie było domeną marksizmu. Bo ucisk i krzywda moralnie degraduje obie strony – sprawcę i ofiarę.

Przy czym, jak pokazuje historia ocalonych z Holokaustu Żydów, którzy tuż po wojnie dokonali czystki etnicznej na Palestyńczykach, ofiary często marzą o byciu sprawcami.

Uważne wczytywanie się w wypowiedzi na forach działaczy – a zwłaszcza działaczek – walczących o prawa uchodźców, to kubeł zimnej wody. Pomagają, bo tak trzeba, ale stykanie się ze straumatyzowanymi ludźmi, gwałconymi czy widzącymi horror, to nie jest cud, miód i orzeszki. Prawda jest banalna: ludzie skrzywdzeni często są okrutni, poza tym nie mają nic do stracenia, co samo w sobie jest niebezpieczne.

Holland w rozmowie z dziennikarzami „Newsweeka” mówiła m.in., że „ma takie okresy mistyczne” (ale nie teraz). Tylko że sytuacji na granicy nie sposób rozwiązać przy pomocy wzniosłego ględzenia rodem z bliskiego jej nurtu kina moralnego niepokoju szermującego fałszywymi biało-czarnymi schematami.

Bo prawdziwa dyskusja o tzw. kryzysie uchodźczym na granicy z Białorusią jeszcze się nawet nie zaczęła. Trzeba sobie zadać pytania poważne, mniej dotykające traktowania uchodźców i imigrantów, a bardziej tego, jakiego chcemy tutaj społeczeństwa. Nie idzie wcale o pieniądze – masa forsy, jaką wydano na mur graniczny i ochronę służb jest uzasadniona w pełni, dopóki nie zapytamy, czy takich pieniędzy nie lepiej by było przeznaczyć na jakieś sensowne programy integracji obcokrajowców. Naukę języka choćby, próbę włączenia ich w życie społeczne, ekonomiczne i kulturalne Rzeczypospolitej.

W jakimś sensie pushbacki są spełnieniem marzeń nienawidzących Zachodu dżihadystów: ci chrześcijanie, Europejczycy, biali są nam zupełnie obcy i nie mają dla nas litości, toteż nie powinniśmy mieć jej dla nich. Bin Laden śmieje się zza grobu.

K.K.

■ *Był czas, kiedy próbowano przekonywać, że mamy Kościół otwarty, piękny, który ma twarz właśnie Jana Pawła II, ks. Bonieckiego, ks. Tischnera, i Kościół brzydki, pełen urazów i uprzedzeń, który ma twarz o. Rydzyka. Ten pierwszy Kościół wspierał siły proeuropejskie, demokratyczne, a ten drugi to miały być „mohery” głosujące na ugrupowania nacjonalistyczne, chcące wprowadzić katodyktaturę itp.* ***A jak się już dłużej nie dało robić z papieża Polaka patrona ludzi, którzy ostatnio doszli do władzy, zdecydowano, żeby mocno uderzyć w jego dziedzictwo. W tym celu rozwinięto szmatę z napisem „JPII obrońca pedofilów”.*** *(…) Trzeba wskazywać na tych, którzy gotowi byli zapłacić własnym życiem za świadczenie o prawdzie. Tyle, że dziś* ***ideolodzy i manipulatorzy nie chcą zabijać za głoszenie prawdy. Mają inne, bardziej skuteczne sposoby, jak globalne pranie mózgów.*** *Przecież niejeden z tych, którzy oklaskiwali Popiełuszkę i Wojtyłę, dziś oklaskuje zupełnie innych „bohaterów”.*

o. prof. Dariusz Kowalczyk SJ, idziemy.pl, 25 czerwca

KLECHA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Przy okazji sejmowej debaty nad zmianą definicji gwałtu w Kodeksie karnym na mównicę wszedł poseł Grzegorz Lorek z Prawa i Sprawiedliwości, 54-letni mężczyzna rasy białej, z wykształcenia, jak podaje Wikipedia, administratywista.

„Wyobraźmy sobie sytuację, w której nasz znajomy pożyczył nam samochód. Gdy nim odjechaliśmy, zadzwonił na policję, alarmując, że go ukradliśmy. Przyjaciel świnia. Ale konsekwencje i tak byłyby dla nas poważne. Jak się ustrzec? Najlepiej mieć na piśmie jego zgodę i takie umowy są czasami praktykowane. Ale takich umów przecież nie zawieramy, gdy przyjaciel wraca z zagranicznych wakacji i wręcza nam pamiątkę z wyjazdu. A przecież też mógłby zadzwonić na policję i stwierdzić, że ją ukradliśmy” – powiedział, nawiązując do istoty gwałtu. Tak mu się przynajmniej wydawało…

„Dzisiaj prokuratorzy i sąd badają, czy seks był za zgodą kobiety. Nowe prawo to czysta demagogia i de facto prezent dla bezwzględnych i mściwych kobiet, które będą teraz mogły użyć tego prawa do zaatakowania byłego kochanka. Mężczyzna jest z góry na przegranej pozycji” – nadal mówił poseł Lorek, bo nikt mu nie przerywał. Niezdrowa wyobraźnia podpowiedziała mu taki przykład: „Młodzi ludzie na imprezie za dużo wypili. Dziewczyna dobrze się bawi i wstawia fotki na Instagrama. Upija się do urwania filmu, a chłopak ją odprowadza do pokoju, przytula się, nie dochodzi do współżycia. Rano znajduje ją kolega, całą zakrwawioną, bo zaczął się jej okres. Zawiadamia policję, że jego koleżanka została zgwałcona. Ona nic nie pamięta. Chłopak trafia do aresztu, sprawa długo się ciągnie. On nawet jeżeli jest niewinny, to już jest przegrany. Żeby było jasne, prawo musi chronić kobiety, bo przede wszystkim one są ofiarami gwałtu, i musi być surowe, ale nie może być ślepe. Nie może być elementem damsko-męskiej gry. Spójrzmy na to szerzej i nie wylewajmy dziecka z kąpielą”.

Jak podaje Wikipedia, poseł Lorek ma żonę Barbarę i dwoje dzieci. Tak bardzo współczujemy im z powodu takiego męża i ojca, jak bardzo nie życzymy im, by kiedykolwiek doznali zgwałcenia.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 08b6638fa7

Jak uniknąć prześladowań chrześcijan

Apostołowie Pigmejów

Ponieważ w Kościele nic się zasadniczo nie dzieje, rok do roku te same Zielone Świątki, Wielki Post, mały post i bezmięsne piątki – a nic tak nie ożywia wizerunku Kościoła jak trupy – Fundacja Open Doors („w służbie prześladowanym chrześcijanom na całym świecie"), przedstawiła najnowszy Światowy Indeks Prześladowań 2024. Z dokumentu wynika, że chrześcijanie są bardziej prześladowani („drastycznie", "dramatycznie", „ogromnie"), mordowani, poniżani i wyszydzani, niż to było rok wcześniej – czyli zasadniczo bardziej doznają tego, co najbardziej lubią.

Nie ma większych wątpliwości, że męczennictwo i martyrologia zostały wymyślone przez chrześcijan. Tradycję uszlachetniającego cierpienia zapoczątkował sam założyciel religii Jezus Chrystus, protomęczennik, co go ukrzyżowano za mniemanie, iż jest mesjaszem, synem boga i królem niebios. Jak ma się takiego patrona, to trudno, aby potem było choć odrobinę lepiej. Wszak „we wszystkim trzeba naśladować Chrystusa". Dać się ukrzyżować, ukamienować, przebić mieczem, zatopić – to elementy tego naśladownictwa.

Sadomasochizm uświęcony

Chrześcijanie uwielbiają być mordowani, a ich historia znaczona jest trupami chwały. Poczynając od zarzezanych przez Heroda Wielkiego niewiniątek, które uznaje się za chrześcijańskie, choć sprzed narodzenia Chrystusa; skończywszy w czasach nowożytnych na księdzu Stanisławie Suchowolcu, który umarł od zaczadzenia, siedząc w fotelu, a to dlatego, że Służba Bezpieczeństwa upiła go wcześniej wódką wlewaną na siłę do gardła (wersja podkoloryzowana).

Rysunki TOMASZ WIATER

Poczet znanych a umęczonych za wiarę, według licznych i niezgodnych ze sobą źródeł, liczy ponad 5000 imion i nazwisk. Według innych opracowań, z powodu chrześcijaństwa na przestrzeni wieków zamordowano 70 mln wyznawców, z tego 45 mln w minionym stuleciu.

Zastanawiające jest, dlaczego wierni tej religii wzbudzają tak srogi gniew u innowierców, że posuwają się oni do zabójstw, często ze szczególnym okrucieństwem. Niewątpliwie należy postawić pytanie: czy to dobrze świadczy o ideologii, jeżeli ci jej niepodzielający uważają, że wyznawcę należy ukatrupić? Czy ów poczet licznych bohaterów nie przemawia w gruncie rzeczy na niekorzyść chrześcijaństwa? Nie powinien być powodem do hańby?

Twierdzenie „jesteś chrześcijaninem" w Indiach oznacza, że twoje szanse zgonu w sile wieku wynoszą 40 proc. Raczej więc nie zachęca do nawrócenia.

Nie do pogardzenia z publicystycznego punktu widzenia są również zgony chrześcijańskich męczenników zamordowanych przez chrześcijańskich oprawców, na ogół jakiegoś innego rytu. Polski katolik Maksymilian Kolbe został na przykład zabity zastrzykiem fenolu przez niemieckiego protestanta Hansa Bocka.

Armaty chrześcijaństwa

Zasadniczym powodem, dla którego zabijani są chrześcijanie obecnie, ale i w czasach minionych, jest tak zwana ewangelizacja: nawracanie niewiernych i oświecanie nieznających Chrystusa. Zdecydowana większość ubitych to misjonarze, którzy przybywają ze swoimi heretyckimi tak naprawdę przekonaniami do naturalnie zrodzonych pogan, aby zrobić z nich owce w owczarni Pana.

W gruncie rzeczy chodzi o atak ideologiczny, intelektualny, gwałcenie miejscowych zwyczajów, praw i słuszności.

Tak zwani głosiciele wiary to w zasadzie agresorzy, którzy uważają, że wolno im wejść do cudzego domu i nakazywać właścicielowi, jak ma ustawić swoje meble, jak wychowywać dzieci i spółkować ze swoją kobietą – obiecując za nieposłuszeństwo karę wiecznego potępienia. Czy jest dziwnym, że takie zachowanie budzi mordercze odruchy? Otóż nie. Nawet we współczesności podobne poczynania są prawem cywilizowanych państw zakazane.

Wspomnijmy o szykanowaniu komunistów w liberalnych Stanach Zjednoczonych, zwolenników gospodarki centralnie kierowanej we Francji, czy obecną obstrukcję, a nawet więzienie dla kogoś, kto w Polsce propagować by chciał hitleryzm. Prezentowanie poglądów odmiennych od regionalnie obowiązujących jest przestępstwem, co jest pospolicie zrozumiałe, ale nie dla chrześcijan. Organizacja „Open Doors" oraz polski episkopat lansują obłudną tezę, że tam, gdzie chrześcijanie są gośćmi, tubylcy powinni być bardziej otwarci i tolerancyjni. Kiedy spojrzymy na tolerancję polskiego Kościoła na wszelkie odmienności importowane, to okazuje się, że jej nie ma. Żydom nie wolno podpalać w Tel Awiwie kościołów, natomiast jak w Warszawie synagogę oblewa się farbą, o, to już jest zupełnie inna sprawa.

Jest to zresztą akurat zachowanie bardziej uniwersalne. Bo, powiedzmy, judaizm, będący religią Izraela, nie toleruje na przykład buddyjskich Żydów. Z arabskimi mormonami też ma na pieńku. Natomiast na obczyźnie domaga się dla swoich wyznawców dialogu, poszanowania i równouprawnienia.

Bluźniercy w sutannach

Oczywiście chrześcijanie nie są mordowani za uzewnętrznianie swojej wiary, noszenie krzyży, klepanie różańców, czy bicie w dzwony w swoich świątyniach. Bo choć to nie do zniesienia – na przykład dla żydów, których bożnice takich przeraźliwych dźwięków nie wydają – mordowanie odbywa się z innych, o wiele ważniejszych, fundamentalnych powodów.

Jeżeli brat zakonny udaje się z misją głoszenia istnienia jedynego boga do buddyjskiego Tybetu, to oczywiście brany jest za szaleńca. Buddyści wiedzą, że boga nie ma. Podobnie postrzegać będą go hindusi, choć z zupełnie przeciwnego powodu. Ci uważają, że istnieje ogromna mnogość bogów. Jeżeli bracia klaretyni (od św. Antonia Marii Clareta) twierdzą przed wyznawcą Zen, że Bóg stworzył świat, to zostaną odsądzeni od czci i wiary, albowiem ci uważają, że świata nikt nie stworzył, gdyż był on zawsze, nie wymagał więc tworzenia. Jeżeli wobec amidystów twierdzą, że Bóg jest pierwszym poruszycielem, no to wyzwani zostaną od ignorantów, bowiem ci słusznie uważają, że nic nie jest w bezruchu. Ruch istniał zawsze i nikt nie musiał go tworzyć. Jeżeli przed zwolennikami wisznuizmu lansować będą tezę o złu i szatanie, no to znów wyjdą na durni, albowiem zdaniem wyznawców Wisznu zło nie istnieje. Nie dopuszczają oni również istnienia diabła. Do pewnych kontrowersji musi dojść w stosunku do chrześcijańskiego duchownego, który wobec wyznawcy rudra sampradaja stwierdzi, że człowiek ma duszę, co ten uzna za absurd. W mniemaniu rudrysty człowiek jest duszą, a ciało to tylko tymczasowy do niej dodatek. Jeżeli świątobliwy ksiądz werbista będzie wmawiał czarnoskóremu z plemienia Masajów, że po śmierci za popełnione grzechy czeka go piekielna kara, no to też polegnie w dyskusji. Ten uważa, że śmierć nie istnieje, a jest to tylko jakaś transformacja życia w inną formę.

Daremne trudy

Niemal w każdej sprawie i miejscu na świecie chrześcijański misjonarz ulegnie ze swoimi kłamstwami pod ciężarem faktów, a bluźnierstwo nadal bywa gdzieniegdzie karane śmiercią na mocy prawa.

Jest to ważne spostrzeżenie dla pragmatyki Kościoła. Czas pojąć daremność depoganizacji, która jest podobna działaniom Afrykanów, przybyłych na Grenlandię z misją przekonania Eskimosów, że powinni chodzić boso.

Jest jeszcze jeden wniosek dla świata: że nie ma szans na bezkrwawe współistnienie religii gdziekolwiek bądź. Jeżeli jest dobrze, to jest dobrze. Jeżeli coś idzie nie tak, choć może być to coś zupełnie z wyznaniem niezwiązanego – np. kryzys naftowy lub zmiany podatkowe – odpowiedzialnością za nieszczęścia obarczeni zostaną w pierwszej kolejności najbliżsi innowiercy. Nawet drobne różnice w wyznaniu żyjących obok siebie różnych grup wyznaniowych wywołują fale mordów. To nie różnice religijne między katolikami a protestantami były przyczyną wojny domowej w Irlandii, ale dysproporcje ekonomiczne między społecznościami. Pakistan odłączył się od Indii nie z powodów religijnych, choć tak pospolicie się wydaje.

Idźcie w pokoju

Dlatego ów raport o prześladowaniu chrześcijan na świecie – a za nim całe chrześcijaństwo – powinien zmierzać do tego, aby pewnego roku było w nim napisane: nie został zamordowany żaden chrześcijanin, a w krajach, gdzie doznają oni największych krzywd (jest to ok. 50 krajów, głównie w Afryce), nie spotkało ich nic przykrego. To jest możliwe i wykonalne w prosty sposób.

Należy wycofać się ze światów, w których was nie chcą. Nie wchodzić do domów, gdzie was nie zapraszają. Nie łamać praw, mniemając, że wasze są lepsze. Nie należy traktować z ironią twierdzenia, że Żydzi są przyczyną antysemityzmu. Są, podobnie jak chrześcijanie – antychrystianizmu.

No ale czy można sobie wyobrazić chrześcijaństwo bez męczenników? To trochę tak jakby nazizm mógłby się obyć bez Horsta Wessela, któremu Albrecht Höhler wypalił prosto w twarz z Parabellum kaliber 9 mm, dzięki czemu napisana przez Horsta pieśń stała się oficjalnym hymnem NSDAP (Horst-Wessel-Lied). Czy mógłby zaistnieć radziecki marksizm, gdyby dekabryści nie poszli na szubienicę? Z jaką legendą opozycja usiadłaby do Okrągłego Stołu, gdyby milicja nie zamordowała Grzegorza Przemyka? Czy amerykańska demokracja byłaby amerykańską demokracją, gdyby John Fitzgerald Kennedy nadal żył?

To ważne kwestie dotykające jądra natury ludzkiej, z natury obłudnej. Otóż żaden, największy nawet zbrodniarz nigdy się nie przyzna, że robił coś w imię zła. To strasznie nieuczciwe, takie wynajdowanie dobra, aby zło usprawiedliwić. Chciałbym jednak dożyć czasów, kiedy złodzieje będą przyznawać: „tak ukradłem sąsiadowi samochód, bo chciałem mieć samochód". Bez żadnych ściemniających, rozczulających wyjaśnień. W przypadku Kościoła brzmiałoby to: „tak, podbijamy swoją lipą głupszych i gorzej zorientowanych, bo do żadnej pracy się nie nadajemy, jesteśmy leniwi, a w dodatku cieszymy się niezasłużoną estymą sług bożych".

ROBERT JARUGA
robert.jaruga@doborowa.com.pl

WIARA CZYNI CZUBA

1. Pakistańscy chrześcijanie protestują przeciwko karze śmierci, na którą sąd w Pendżabie skazał Ehsana Shana, oskarżonego o mowę nienawiści wobec muzułmanów – a tak naprawdę o bluźnierstwo. Rok temu Shan udostępnił na TikToku cudze zdjęcia pokazujące zniszczone strony koranu. Było to po tym, jak plotka o sprofanowaniu koranu przez dwóch pakistańskich chrześcijan sprowokowała tłum muzułmanów do podpalania chrześcijańskich domów i kościołów, co z kolei wywołało dość zrozumiałe poruszenie chrześcijańskiej mniejszości; post Shana był przejawem tego poruszenia. W Pakistanie od czasów rządów junty Zia ul-Haqa, kodeks karny przewiduje czapę za bezczeszczenie imienia proroka „czynem, słowem, działaniem, aluzją czy insynuacją". Skazania są częste, choć żaden z tych wyroków nie został jeszcze wykonany.

2. Katolicka parafia Wniebowstąpienia Pańskiego w Chesterfield w Missouri dementuje informację, iż ma zamiar stworzyć milicję dla ochrony „Świętej Eucharystii, naszej kongregacji, naszych duchownych i ziemi kościelnej". Ogłoszenie, które pojawiło się w biuletynie parafii, wzywało „wszystkich młodych mężczyzn w wieku 18–29" do wzięcia udziału w szkoleniu obejmującym „trening fizyczny, lekcje teoretyczne i instruktaż w zakresie operacji militarnych" w parafii, która „została wybrana jako poligon doświadczalny dla milicji; jeśli nam się powiedzie, mamy nadzieję utworzyć plutony w parafiach na całym świecie". Istnieje supozycja, że ogłoszenie było trollingiem – milicja miała nazywać się „Legionem Świętej Lany". W kościele kat nie ma świętej Lany – istnieje natomiast wokalistka Lana Del Rey, którą memy często pokazują jako Matkę Boską.

3. Co najmniej 116 osób, w większości kobiet i dzieci, zginęło rozdeptanych przez tłum podczas hinduistycznego nabożeństwa znanego jako satsang, czyli „obcowanie z prawdą". Prowadzone przez niejakiego Bhole Babę zgromadzenie miało miejsce w dystrykcie Hathras w stanie Uttar Pradesh w północnych Indiach. Bójka, a później panika wybuchła, kiedy wierni usiłowali opuścić namiot, w którym odbywała się modlitwa, i podmuch wiatru nasypał im kurzu do oczu. Bhole Baba – który twierdzi, że zanim został przywódcą duchowym pracował w służbach specjalnych – zarejestrował zgromadzenie na 5000 uczestników, ale przybyło 15 tys. Media cytują wypowiedź syna jednej z ofiar, 60-letniej Eashwar Pyaari: „Matka często chodziła na spotkania religijne, aby znaleźć spokój".

4. Ram Bahadur Bomdzian, szerzej znany jako „Mały Budda" został skazany na 10 lat więzienia za seksualne molestowanie małej dziewczynki. Ram stał się słynny w 2005 r., kiedy w wieku 15 lat udał się do lasu, gdzie miał ponoć medytować przez pół roku bez jedzenia, picia, spania i srania. Od tego czasu niektórzy wyznawcy uważają go za reinkarnację Buddy. Jego popularność nieco zmalała po tym, jak został oskarżony o molestowanie dziecka i współodpowiedzialność za zniknięcie co najmniej czterech swoich zwolenników (ta sprawa nadal czeka na wyjaśnienie), jednak tysiące wiernych wciąż przybywają pod dom na przedmieściach Katmandu, aby oddawać mu cześć. Ram każe się do siebie zwracać: Om Namo Guru Budda Gyani (Pokłon Mistrzowi, który poznał Buddę). Podczas aresztowania znaleziono przy nim ćwierć miliona dolków w różnych walutach.

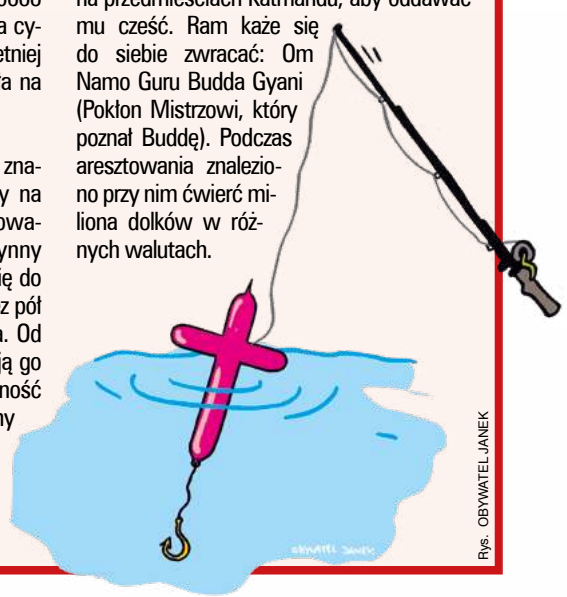

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 08b6638fa7

ETYKA BEZBOŻNA

Lekcja liliowego konika

Filozof w Indiach

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ten felieton wysyłam do Was z Indii, a dokładnie z pięknego i brudnego miasta Dżajpur, stolicy Radżastanu, jakieś 300 km od Dehli. Wiele się zawsze mówiło o wielkich kontrastach i biedzie w Indiach, chociaż od kilku lat gospodarka najludniejszego kraju świata przyśpieszyła i pewne z roku na rok nędzy szczęśliwie będzie tutaj ubywać. Jednakże wciąż jest jej bardzo wiele. Jestem zaskoczony i zasmucony widokiem niezliczonych koczowisk i masą bezdomnych na ulicy. Zaskoczony, lecz pod pewnym względem uspokojony. Nie widziałem bowiem głodu i nie widziałem wielu ludzi ciężko chorych, pozostawionych samym sobie. Dożywianie zapewniają świątynie, a chorzy najwidoczniej też znajdują jakiś azyl. Nie znaczy to, że na ulicach Dehli nie spotkacie tzw. trędowatych albo bardzo ubogich inwalidów. Są tacy i są też żebrzące dzieci, choć może nie tak wiele, jak to dawniej się od ludzi wracających z Indii słyszało. Zresztą dzieci są pełne życia i radości życia, której nawet nędza nie jest w stanie zabić. O wiele gorzej z dorosłymi nędzarzami, którzy czasami dochodzą do takiego stanu otępienia i rezygnacji, że kładą się na brzegu jezdni, gdzie żaden człowiek ich, chcący lub niechcący, nie kopnie, za to auta i motocykle wyminą.

Mimo że widać tu postęp ku lepszemu, mój krótki pobyt w Indiach skłania mnie do ponurych refleksji na temat ludzkiej nędzy i równie ludzkiej, aczkolwiek nieludzkiej, niesprawiedliwości. Niesprawiedliwości społecznej. Chociaż system kastowy w Indiach powoli ustępuje hierarchii społecznej opartej na dochodach oraz (niestety) kolorze skóry (jaśniejsza skóra to nadal większe szanse życiowe, zwłaszcza dla kobiety), to wciąż ten wielki kraj zamieszkują masy ludzi bez żadnych szans na godne życie. Skazanych na służenie innym w zamian za miskę strawy albo na upiorną pracę za wynagrodzenie pozwalające jedynie wegetować i nabierać sił do dalszej upiornej pracy. I to wszystko w upale, kurzu, pośród zwałów śmieci. Albo w ulewnym deszczu i w błocie (bo akurat zaczęła się pora monsunów).

Widok bezdomnego leżącego nie na chodniku (zresztą chodników tu prawie nie ma), lecz na jezdni, porusza i oburza. Ale jeszcze bardziej poruszył mnie i właściwie wzruszył obraz koczowników mieszkających na ulicach i pod wiaduktami, usiłujących zarobić kilka groszy na wytwarzanych przez siebie drobnych przedmiotach. Ludzi tych nazywa się tu „Cyganami" i bardzo możliwe, że niektórzy faktycznie nimi są. W każdym razie wyglądają dokładnie tak samo, jak nasi europejscy Romowie, którzy przywędrowali z Indii półtora tysiąca lat temu. Mniejsza zresztą o te pokrewieństwa genetyczne, lub ich brak. Z całą pewnością istnieje natomiast pokrewieństwo pod względem pozycji społecznej i stylu życia. W Indiach są niemalże pariasami pozostawionymi samym sobie. W półtoramiliardowym gigaspołeczeństwie są jak niewidzialni. Niewidzialni, lecz dla tych, którzy chcą patrzeć – widoczni. I wyobraźcie sobie teraz brudne pobocza zatłoczonych ulic w indyjskim wielomilionowym mieście, a na nich „cygańskie rodziny" obstawione różnej wielkości drewnianymi konikami-zabawkami obciągniętymi fioletowawym materiałem. Całe rzędy pokracznych fioletowawych koników. Widzę tu wiele takich ulicznych konikowych galerii. Smutne te koniki, oczekujące na dzieci, które mogłyby zabawić.

Jest w tym coś absurdalnego, lecz jednocześnie wzruszającego. Te koniki są w świecie zabawek, zdominowanym przez tzw. chińszczyznę, jakby podobne swoim wytwórcom pośród ludzi. Są niepodobne do niczego, wyobcowane, zepchnięte na margines i generalnie niechciane. Widząc te egzotyczne wytwory ludzi walczących o przetrwanie, lecz zapewne nieświadomych swojego położenia i niesprawiedliwości, której są ofiarami, odczuwałem potrzebę wykonania jakiegoś gestu w ich stronę.

Chciałem zatrzymać autobus, aby pozwolono mi wyjść i kupić takiego absurdalnego liliowego konika. Postawiłbym go na godnym miejscu, na półce z książkami.

Ale to było niemożliwe i śmieszne. Autobus by się nie zatrzymał, a ja utraciłbym reputację karnego i przyzwoitego uczestnika wycieczki. Byłoby śmieszne, jak śmieszne jest to moje filozofowanie o ludzkiej biedzie zza szyb autobusu. Na nic tamtym moje gadanie.

Od „Cyganów" oddzielała mnie przepaść. Nic mi do nich, a im nic do mnie. A przepaści społecznych, kulturowych i po prostu sytuacyjnych nie da się tak po prostu przeskoczyć czy unieważnić jakimś aktem dobrej woli. Odkrycie tego moralnego faktu jest lekcją pokory dla człowieka uważającego się za postępowego i lewicowego. Lekcja ta mówi, że nawet będąc nie wiedzieć jak wrażliwym na ludzką krzywdę i wyzwolonym z uprzedzeń człowiekiem, nadal pozostaje się w ramach wielkiego systemu społecznego na pozycji uprzywilejowanej. Jest się tam, gdzie się jest i żadne sentymenty ani wielkie słowa tego nie zmienią. I ja sam też jestem po lepszej stronie szyby autokaru. Więc żegnaj, liliowy koniku!

JAN HARTMAN

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ W Europie rośnie polityczne wsparcie dla negocjacji pokojowych między Rosją a Ukrainą. Ostatnio nadzieję na dyplomatyczne rozwiązanie konfliktu wyraził lider CDU – obecnie najpopularniejszej partii w Niemczech – Fredrich Merz. Do negocjacji nawołuje także druga w sondażach Alternatywa dla Niemiec oraz Sojusz Sahry Wagenknecht. W rozmowie z katalońskim dziennikiem „El Periodico", do rozmów pokojowych wezwała Marine Le Pen, której partia wygrała wybory we Francji. Do stołu negocjacyjnego zapraszają Ukrainę także faworyt tegorocznych amerykańskich wyborów prezydenckich Donald Trump oraz przywódcy Węgier i Słowacji – Victor Orbán i Robert Fico. Wolę negocjacji deklaruje Władimir Putin. W Polsce bez zmian – politycy od prawa do lewa wciąż bajają o pokonaniu Rosji.

☆ Przedstawiciel wolnych mediów w osobie Jacka Pawlickiego („Newsweek") przeprowadził kolejny już wywiad z szefem uśmiechniętej dyplomacji Radkiem Sikorskim. „Stanowisko ministra spraw zagranicznych w wolnej Polsce jest zaszczytem, ale jakoś wy, dziennikarze, nie bardzo mi wierzycie" – boleje Sikorski. „Teraz już wierzę" – ostro ripostuje Pawlicki, a Sikorski kontynuuje: „Przyzna pan, sytuacja jest dziwna. Polscy dziennikarze nie wierzą polskiemu ministrowi spraw zagranicznych, że nie chce jakiejś wysoko płatnej posady za granicą". Kiedyś wierzyli premierowi, a ten zwiał do Brukseli i Kaczyński wygrał wybory.

☆ Andrzej Rafał Potocki na łamach „Sieci" relacjonuje najważniejsze momenty zorganizowanego przez Ukrainę „szczytu pokojowego": „Do historii przeszły dwa bon moty z tego spotkania, w tym jeden naszego prezydenta (...). »Jeśli Putin chce, aby tysiące Rosjan ginęło na Ukrainie, powinniśmy pomóc mu zrealizować ten cel« – skomentował Andrzej Duda". Potocki zapomniał wspomnieć, że chodzi o historię politycznego kabaretu.

☆ Generał brygady Jarosław Kraszewski pytany przez dziennikarkę gazety „Polska The Times", czemu służy strasznie atakiem na Rzeczpospolitą, odpowiada: „Pani redaktor, z całym szacunkiem, potrzebujemy świadomości, aby podatnicy w Polsce, Niemczech, Francji czy innych krajach NATO nie protestowali, że te 2 procent PKB [zostanie] przeznaczone na obronność". Cóż za szczerość!

☆ Rydzykowy „Nasz Dziennik" opublikował na pierwszej stronie artykuł pod zaskakująco rozsądnym tytułem: „Błagamy o pokój". Niestety, treść artykułu już nie zaskakuje – nie dotyczy sytuacji międzynarodowej, lecz pielgrzymki do Medugorje: „Matka Boża już 25 maja br. zwróciła się do nas słowami: »Dzieci, zakładajcie grupy modlitewne (...), nawracajcie się i wybierajcie drogę świętości i nadziei, aby Bóg dał wam pełnię pokoju«". Tym którzy chcą posłuchać więcej mądrości matki boskiej o pokoju, a nie mają kasy na wycieczkę do Medugorje, polecamy wizytę w Tworkach.

MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com

PLURALIS MAIESTATIS

Pomponiki

W starożytnym Egipcie, kiedy zgrzybiały faraon nie pojmował, że powinien oddać władzę, to zespół kapłanów-lekarzy otwierał mu czaszkę. Oczywiście operację wykonywano w intencji nabrania sił witalnych, a nie gwałtownego zgonu bossa. Dodam, że odkrycia archeologiczne potwierdzają, że niejeden Egipcjanin przeżył takie manewry dłutkiem – jednak nigdy żaden faraon.

Zdarzało się, że Egipcjanom wkładano do sarkofagu mumię ukochanego kota, nigdy jednak – psa.

Ogólnie rzecz biorąc polityka ma kocią naturę, a populizm – psią. Joe Biden, oskarżając Donalda Trumpa o posiadanie moralności ulicznego kota, mocno go uhonorował.

Wyliczono, że Trump podczas debaty skłamał 30 razy, Biden – dziewięć. Nie ma to żadnego znaczenia. Jest amerykańskie powiedzenie, że „usta lubią mówić to, czego pragną słuchać uszy". Tymczasem odbytnice zaciskają się pod naporem rzadkiego gówna na myśl, że

kompletnie stetryczały jastrząb może dysponować dostępem do czerwonego guzika. Bidenowi wszystko jedno, i tak niedługo będzie martwy.

Podadzą sobie z Wojtyłą parkinsonowskie dłonie. Każdy, kto miał brutalnie kształcące doświadczenie obcowania z bliskim cierpiącym na chorobę neurodegeneracyjną, wie, że przychodzi moment, iż taki człowiek kompletnie fiksuje się na temacie, który był dla niego najistotniejszy w czasach zdrowia. A Biden miał obsesję na punkcie bycia faraonem. Najpotężniejszym człowiekiem w cywilizowanym świecie. Podejścia pod stołek robił kilkakrotnie, przegrywając na wcześniejszych etapach.

Zastanawiam się, czy już gdzieś tam kapłani-lekarze szykują dłutka? A jeśli tak, czy gdzieś nie czeka czarny koń? Nowy kandydat, atrakcyjny i silny zastępca, który wejdzie do gry nieomal na ostatniej prostej, przywitany niczym zbawca przez rozhisteryzowanych przeciwników Trumpa.

A może istnieje kawałek Ameryki, który również pragnie zwycięstwa Trumpa, tylko za Chiny nie może się do tego przyznać?

Wszakże nie tylko broń produkuje się na świecie – a często ci sami, co produkują broń, w innym wcieleniu wytwarzają batoniki czy mleko w proszku dla niemowląt. Ameryka, świat, mała mrówka, a nawet Nancy Pelosi potrzebują czterech lat kadencji Trumpa. Nie opłakujmy demokracji, bo to taka sama porno kurwa jak pozostałe, tyle, że chadzająca w białych majtkach.

Wszystkie inne małe śmierci, które spowoduje Trump, również da się przeżyć. Czego nie da się powiedzieć o śmierciach wywołanych przez Bidena – z wyjątkiem jego własnej. Nie wiem, czym tego faceta szpikują, ale każda szpryca, na którą się zgadza, odsuwa go od ramion wiernej żony, w ramiona kostuchy.

Tak, Trump jest kocurem. A jego pomponiki pod ogonem trzymają się mocno. Każda czirliderka powinna być świadoma, że pompony, którymi macha, wyglądają toczka w toczkę jak kocie jaja.

Co zaś do moralności ulicznego kota, to natura nie jest moralna – natura jest skuteczna. W przenoszeniu genów, czyli życia. Biden jest katolem i kretynem, to już nie są owoce choroby neurodegeneracyjnej.

A na poprawienie nastroju Wielka Poezja Wielkiego Charlesa Bukowskiego w tłumaczenia zajebistego Michała Kłobukowskiego.

„siedzę przy oknie
zlany piwnym potem
sponiewierany przez lato
i patrzę na kocie jaja. […]
ogon, niech go szlag,
zwisa tak, że
nic nie zasłania –
kontempluję te jego kosmate zasobniki –
o czym facet może myśleć
spoglądając na kocurze breloki?

Ilustr. PAWEŁ FERENC

na pewno nie o armadach zatopionych
w wielkich bitwach morskich.
na pewno nie o programie pomocy
ubogim"…

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 08b6638fa7

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Azbest jest dziś takim samym symbolem niemożności państwa, jakim był papier toaletowy za komuny.

Rządy hodowców raka

Pod koniec lat 90. na polskich dachach zalegało około 20 mln ton eternitu. Eternit to mieszanka cementu z azbestem – przez dziesięciolecia PRL służył jako najtańsze i najtrwalsze pokrycie dachów. W eternicie były włoski azbestowe, które w latach 80. okazały się być szkodliwe.

Najlżejszy wymiar kary za ich wdychanie to azbestoza czyli pylica azbestowa; potem w zestawieniach lekarzy lecą łagodne zmiany opłucnowe, po nich nowotwory o nazwie międzybłoniaki opłucnej i otrzewnej, a wszystko wieńczy kilka rodzajów jeszcze bardziej zjadliwego raka płuc.

Azbest na miarę naszych możliwości

Władza nie chciała, żeby naród polski wymierał z powodu jakichś włosków, ustawowo wprowadziła więc w 1997 r. zakaz stosowania azbestu i wyrobów zawierających azbest. Zakazując jego produkcji.

Problem milionów ton włosków wciąż jednak leżał na dachach. Wykoncypowano zatem, że należy pospólstwu uświadomić zagrożenie i zmusić, żeby ten cholerny eternit wywaliło na zbity pysk.

Pojawiły się nawet pierwsze pieniądze na dofinansowywanie tych, którzy eternitu chcieli się pozbyć. Gminy miały pozałatwiać odpowiednie ekipy, które jeździłyby po chętnych i demontowały rakotwórcze dachy. Mówiono i pisano, że najdalej po kilku latach azbestowego problemu w Polsce nie będzie.

Radosna działalność edukatorów i mediów zrobiła swoje. Na przełomie milenijnym co bogatsi posiadacze azbestowych falistości jęli je masowo zastępować czym się dało. Płyty fruwały z wysokości i roztrzaskiwały się na ziemi. Azbestowe włoski unoszone wiatrem rozlatywały się po Polsce, trafiając co jakiś czas do płuc tubylców.

Władzy nie było to jednak obojętne. Błyskawicznie powstały regulujące rzecz całą zapisy prawne. Dzięki nim szczęśliwy posiadacz zabudowań krytych azbestową strzechą przestawał być szczęśliwy. Za rządów SLD urodził się „Program usuwania azbestu i wyrobów zawierających azbest stosowanych na terytorium Polski na lata 2002–2032". Powstały procedury i nawet pojawiły się pieniądze dla gmin na utylizację. Stworzono też ogólnopolski spis azbestu do utylizacji. Wyszło tego 15,5 mln ton.

Każdy posiadacz eternitowej strzechy dostał oblig „identyfikacji oraz oceny stanu wyrobów azbestowych znajdujących się na danej nieruchomości". I nie dość, że musiał zgłosić do gminy, że ma zaazbestowioną chałupę lub stodołę, to na dodatek każdego roku musiał wdrapywać się na dach i jak widział, że eternit się wykruszał i pękał, to stwierdzoną liczbę pęknięć i inne usterki podstawiał do podanego w rozporządzeniu wzoru. I jak wyszło ponad 120 punktów, to powstawał prawny obowiązek wymiany dachu.

Gdyby dach był kryty słomą, papą czy zwykłą blachą falistą, to psa z kulawą łapą by to nie interesowało. Ponieważ jednak w grę wchodził eternit, na miejscu musiało pojawić się państwo w osobie inspektora nadzoru budowlanego. Żeby tam tylko. O radosnym fakcie wymiany dachu trzeba było zawiadomić też „właściwego Państwowego Inspektora Sanitarnego i właściwego Okręgowego Inspektora Pracy".

Oczywiście do popękanego dachu nie można się było dotykać. Przysługiwało to tylko osobom, które przeszły specjalistyczne badania medyczne, odbyły przeszkolenie w zakresie minimalizacji zagrożeń oraz posiadają odpowiednie zezwolenia starosty lub marszałka województwa „właściwego dla terenu robót, na wytwarzanie odpadów zawierających azbest".

Państwo nakazywało, by demontażem zajmowały się jedynie wyspecjalizowane firmy, i to „w ramach jednej usługi". Pozyskany przez nie odpad niebezpieczny firma była zobowiązana „przekazać do unieszkodliwienia na składowisko przeznaczone do składowania odpadów zawierających azbest lub poddać go innym, dopuszczonym ustawowo, procesom unieszkodliwienia".

Miliony znikających ton

Władza postanowienie wydała, ale się do niego szczególnie nie przywiązywała. Były ważniejsze sprawy – referendum akcesyjne i IV RP. Walka z azbestem szła więc tylko na papierze. Za pierwszego Tuska problem do rządu wrócił i wyszedł zeń jako „Program usuwania azbestu i wyrobów zawierających azbest na lata 2009–2032". W nim to co wcześniej, czyli procedury i dofinansowania. Tym razem jednak wsparte funduszami z Brukseli. Oczywiście po raz kolejny policzono zalegający wszędzie azbest – tym razem oszacowano go na nieco ponad 6 mln ton. Niemal 10 mln ton w jakiś cudowny sposób zniknęło. Cudowny – bo do tego czasu na certyfikowane wysypiska w całym kraju trafiło niecałe pół miliona ton zaazbestowanego gruzu.

Na unijną kasę przeznaczoną do walki z azbestem oprócz rządu rzucili się ekolodzy. W tym walcząca o dobrostan środowiska Federacja Zielonych GAJA, która jęła realizować coś o dumnej nazwie „Ogólnopolska kampania informacyjno-edukacyjna na rzecz usuwania azbestu i wyrobów zawierających azbest". Ekolodzy przestali sobie zawracać azbestem głowy w początku 2014 r, kiedy szmalec unijny na ten cel się skończył. Bez kasy z Brukseli, azbest ekologom już nie przeszkadzał.

Przez wszystkie lata walki państwa polskiego z eternitem mówiło się o korzyściach, które posiadacz azbestowego dachu miał osiągać przy jego zdjęciu. Była nawet mowa o publicznym dofinansowaniu kosztów nowego pokrycia. Wyszło jak zwykle. Ministerialne i rządowe plany wiele obiecywały, opisywały procedury, ale milczały o szmalcu. Okazało się bowiem, że ponieważ rok 2032 to gdzieś w okolicy końca świata, nie ma się co spieszyć. Nie było pośpiechu, to nie było i kasy.

Po przejęciu władzy przez PiS na politykę azbestową po raz pierwszy rzuciła okiem Najwyższa Izba Kontroli. Wyszło jej, że przez 13 lat rządowej walki z azbestem zutylizowano ledwie 6 proc. inkryminowanych wyrobów. Więc jak będzie to szło w tym samym tempie, to azbestu nie pozbędziemy się z Polski przez kolejne 200 lat.

PiS wykorzystało raport NIK do przywalenia poprzednikom i zapowiedzi, że teraz walka ruszy z kopyta. W 2017 r. pisowska ochrona środowiska zaczęła opowiadać, że tylko w 2016 r. usunięto 2,13 mln ton wyrobów azbestowych. Była to bzdura, bo rok później rząd opublikował bilans azbestowy, z którego wynikało, że od 2002 r. zutylizowano łącznie ledwie 787 tys. ton syfu. Co ciekawe, w bilansie jak byk stało, że początkowa waga kancerogennego materiału wynosiła tyle, ile podało PO, czyli trochę ponad 6 mln ton.

Pod koniec rządów PiS nikt nad statystykami nie panował. Azbest do likwidacji urósł o 2,5 mln i jest go nie 6, ale 8,5 mln ton. Natomiast waga usuniętego azbestu to 1,45 mln ton. Do zniszczenia po PiS zostało więc jeszcze 7 mln ton kancerogennego gruzu.

Nikt jednak nie jest w stanie wytłumaczyć, jak zniknęło – wyliczone skrupulatnie ponad 20 lat temu – 7 mln ton materiałów azbestowych, których przecież pod groźbą kary nie można było tknąć właścicielowi.

Oskarowy eternit Tuska

Odpowiedzi na to pytanie jest jednak w stanie udzielić każdy mieszkaniec wsi. Wielu wskazuje na drogi dojazdowe do pól, gdzie demontowane z dachów kruszywo wylądowało i skąd – gdy jest sucho i wietrznie – włoski rozwiewają się po okolicy. Na wsiach nikt spisanym eternitem się nie przejmował i jak trzeba było z powodu spękania go ściągnąć, to się ściągało i „utylizowało" we własnym zakresie. Jak komuś płyty eternitowe na dachu połamał wiatr, czy rozbił grad, to nie wołało się ludzi w maskach, tylko brało gwoździe i młotek albo i wiertarkę, i naprawiało samemu. Efekt był mocno nieekologiczny. Potrzaskane płyty trafiały i trafiają gdzie się da, od nielegalnych wysypisk, po leśne polanki. Dna rzek i potoków nie wyłączając.

Najśmieszniejsze, że wcale nie jest to bardziej szkodliwe dla środowiska niż to, co się dzieje z eternitem utylizowanym profesjonalnie. Trafia on bowiem na składowiska odpadów niebezpiecznych. Czyli na coś, co jest zabezpieczone najczęściej od spodu, przed przesiąkaniem do wód gruntowych. Z rzadka można znaleźć składowisko przykryte dachem. A skruszony eternit rozwiewany przez wiatr to przecież to, przed czym mieliśmy się chronić.

Oprócz składowania istnieje co prawda metoda witryfikacji, która ma niewątpliwą zaletę stuprocentowego unieszkodliwiania azbestu. Polega ona na przetapianiu odpadów wraz ze stłuczką szklaną na zeszkliwioną masę, która przestaje być niebezpieczna. Powstały dzięki temu produkt może zostać ponownie wykorzystany, choćby jako dodatek do betonu. Ale tak witryfikacja, jak i inne alternatywne sposoby unieszkodliwiania azbestu, bez dotacji jakoś się w Polsce nie mogą przyjąć.

W ciągu 20 lat na polskiej wsi zapomniano o strachu przed azbestem. Tam eternit nikomu, oprócz miastowych, nie wadzi.

Nikt więc nie ściągał dachów tylko dlatego, że można było na to dostać dofinansowanie. Zwłaszcza że PiS pokombinowało tak, że w jednych województwach pokrywało ono 60 proc. ceny demontażu dachu, zaś w innych całość prac. Samo ściągnięcie dachu przez uprawnioną ekipę drogie zresztą nie było, bo sięgało nieco powyżej 1 tys. zł.

Jednak koszt nowego pokrycia dachu to dziesiątki tysięcy złotych. Taki bilans mógł zmusić do pozbycia się eternitu tylko największych hipochondryków.

W normalnych krajach tego typu operacja była dotowana w formie premii od 20 do 50 proc. na nowe pokrycie dachu. Nikt wtedy nie uchylał się od obowiązku. Nic nie trafiało na trujący rozkurz.

Polskie oszczędne państwo, zamiast dołożyć komuś kilka tysięcy złotych do dachu, wolało pakować dziesiątki tysięcy w zawłoskowionych azbestem petentów klinik onkologicznych.

Miał to zmienić – większymi dopłatami do wymiany poszyć – pisowski minister Kowalczyk. W sierpniu zeszłego roku azbestem zainteresował się rzecznik praw obywatelskich i podsumował działania ministra rolnictwa takimi słowami: „Oferowane wsparcie stanowi niecałe 10 proc. całkowitych kosztów wymiany pokrycia dachowego". Po czym skonstatował jeszcze, że niemal przez ćwierć wieku w Polsce nie usunięto nawet jednej piątej dachów zawierających szkodliwy azbest.

Aktualny rząd to ci, co już z azbestem walczyli. Są w nim przecież ludowcy, lewica i platformersi. Jest też wciąż aktualny – i absolutnie nierealny – program pozbycia się eternitu do roku 2032. W jego ramach państwo finansuje walkę z azbestem. Dotuje gminy, które za pozyskane pieniądze ostatecznie rozwiązują kwestię kancerogennych włosków. W ramach ostatniego bloku na dotacje załapały się dwie gminy. 37 800 zł dostała gmina Sędziszów. Za tę kasę przeprowadzi „Działania edukacyjno-informacyjne dotyczące wyrobów zawierających azbest". Zaś za 4700 zł gmina Jedlicze nakręci „Film edukacyjno-informacyjny na temat właściwego postępowania z wyrobami zawierającymi azbest".

Dzięki takiej polityce eternitowe dachy – niczym niegdysiejsze strzechy – będą przez dziesiątki lat tradycyjnym elementem architektonicznym polskiej wsi. Nabawiając raka niegłosującą na koalicję 15 października wiejską część narodu i udowadniając światu, że Polak potrafi wszystko – z wyjątkiem pozbycia się azbestu.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Głosem Roberta Makłowicza, wybitnego specjalisty od tego co można zjeść i jak, od października mówić będą wszystkie autobusy i tramwaje w Krakowie. Sławny znawca potrzeb przewodów pokarmowych udzieli swego głosu nieodpłatnie. Za leczenie otyłości, do której podprogowo zachęca Makłowicz głos wydający z siebie, krakowianie będą becalować we własnym zakresie.

▮ Na boisku przy ul. Kaczmarskiego na poznańskim Strzeszynie zabroniono grać w piłkę. Obiekt wybudowano z tak zwanego budżetu obywatelskiego w 2016 r. za 500 tys. zł na wniosek mieszkańców. Obecnie ci sami mieszkańcy domagają się rozbiórki boiska, ponieważ dzieci na boisku hałasują. Pozwali miasto i wygrali. Sąd Okręgowy w Poznaniu orzekł, że ze względu na decybele boisko ma być zgruzowane.

▮ Niewyobrażalna tragedia miała miejsce w Zielonej Górze na ul. Cichej od strony Parku Tysiąclecia. Tak w każdym razie twierdzi właścicielka psa Bobi rasy ratler, który został rozszarpany przez psa rasy bokser nieznanych personaliów. Policja szuka boksera, któremu za kanibalizm grozi ograniczenie wolności, grzywna do 1 tys. zł lub nagana.

▮ Do przykrego incydentu doszło natomiast w okolicach Barczewa. Jak podało Radio Olsztyn, na jednej z posesji znaleziono zwłoki siedmioletniej dziewczynki, która według wstępnych oględzin zagryziona została przez psy hodowlane. „Każdy właściciel psa powinien pamiętać o potencjalnych zagrożeniach i zawsze zachowywać najwyższą ostrożność, zwłaszcza w obecności dzieci" – rzekł był mł. asp. Jacek Wilczewski z zespołu prasowego Komendy Miejskiej Policji w Olsztynie.

▮ Na tak zwanym moście średnicowym w Warszawie (jak ktoś nie wie, który, to ten, na którym są tylko tory kolejowe), pociąg Pendolino zatrzymany został przez łosia. Wymiana poglądów między łosiem a motorniczym skłoniła tego pierwszego do opuszczenia mostu dobrowolnie. Łoś udał się w kierunku pobliskiego łosiedla Śródmieście zamieszkiwanego rzekomo przez łosie i jelenie.

▮ Muzeum Motoryzacji Wena w Oławie poszukuje do pracy osoby niemiłej, niesympatycznej, marudnej i z fochem. Kobieta, jak można mniemać z dalszej treści anonsu, pracować by miała w charakterze ekspedientki w muzealnym barze stylizowanym na czasy PRL. Zgłosiło się 3 tys. chętnych.

▮ W stoczni Remontowej Shipbuilding w Gdańsku odbyły się chrzest i wodowanie niszczyciela min typu Kormoran II. Szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Jacek Siewiera w imieniu prezydenta RP podziękował stoczniowcom za budowę okrętu. Matką chrzestną została Małgorzata Zdonek, żona kontradmirała Krzysztofa Zdonka. Niszczyciele min stanowić mają trzon naszej floty uderzeniowej, kiedy ta przez wody Zatoki Fińskiej zaminowane przez Rosjan ruszy w rajdzie na Petersburg. Zaraz za niszczycielami min płynąć będą wszystkie nasze pancerniki, krążowniki i lotniskowce. Tych jeszcze nie zwodowano.

▮ Lear Corporation – globalny dostawca komponentów dla samochodów, specjalizujący się w produkcji siedzeń i systemów elektrycznych – zwolni z zakładu w Pikutkowie (gmina Brześć Kujawski) 960 osób, 87 proc. załogi. Józef Witiw, pełniący funkcję dyrektora fabryki stwierdził, że decyzja o wyrzuceniu setek ludzi na bruk „jest odpowiedzią na dynamicznie zmieniające się warunki rynkowe". Zapewne chodzi o to, że samochody jeździć teraz będą bez foteli oraz instalacji elektrycznej.

▮ Płonący mężczyzna wybiegł z lasu między osiedlem przy ul. Gdyńskiej i Markiewicza w Świnoujściu. O drugiej w nocy! „Wrzeszczał nie do wytrzymania" – narzekają mieszkańcy. „Dobrze, że nie zajął się od niego las" – dodają inni. Policja nie wyklucza, że mieliśmy tu do czynienia z samoistnym zapłonem ludzkiego ciała, znanym jako *spontaneous human combustion (SHC)*. Jeżeli to prawda, byłby to pierwszy taki udokumentowany przypadek na świecie.

▮ W jednym z warszawskich bloków na Żoliborzu administracja osiedla zabroniła posiadającym samochody elektryczne trzymania ich na podziemnym parkingu, a tym bardziej ładowania z obawy przed wybuchem i samozapłonem. Przywódcy wspólnoty są źle poinformowani. Według ostatnich danych polskiej straży pożarnej w 2022 r. było 10 pożarów aut z napędem elektrycznym i 8333 z napędem klasycznym. To oznacza, że w garażach podziemnych raczej nie powinno parkować się samochodów z silnikami benzynowymi, bo są one tysiąc razy niebezpieczniejsze niż wtyczki na kółkach.

▮ Mariusz Grabski, mieszkaniec Lublina, wyruszył 1 czerwca rowerem, aby w dwa lata objechać świat dookoła. Wyprawę skończył w Bukareszcie, gdzie ukradziono mu paszport. Roweru nie ukradziono, bo nie przedstawiał on większej wartości materialnej. Natomiast polskiego paszportu nie odzyskał, mimo że proponował 500 euro znaleźnego. Warto być Polakiem.

▮ Do ponadnarodowego aktu przemocy doszło na dworcu PKP w Katowicach. Zatrzymano obywatela Czech, który dał po mordzie obywatelowi Nigerii, bo ten był czarny, ale w towarzystwie białej kobiety. Czech był pijany, co go w jakimś sensie tłumaczy, ale nie usprawiedliwia.

RJ

PS Wieści pochodzą z mediów lokalnych. Że niektóre mogą być nieprawdziwe, to w zasadzie sprawa nieunikniona. Nie wiedzieliśmy jednak, które. Odżegnujemy się od wszelkich skutków prawnych ewentualnych pomyłek.

eprasa.pl 08b6638fa7

Życiorys tanio wyprostuję!

Dlaczego lemolodzy umniejszają wagę intymnego związku Stanisława Lema z marksizmem

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wielu sądzi, że Stanisław Lem (1921–2006) – ten od Trurla, Pirxa, symetriad i Golema XIV – był jednym z najważniejszych (najważniejszym?) współczesnym polskim pisarzem i myślicielem. Coś w tym jest, bo przecież nie był nim Karol Wojtyła? Dotychczas prace Mistrza przetłumaczono na 52 języki i wydano w ponad 40 mln egzemplarzy. Tym bardziej smuci, że po 1990 r. w prostackiej i chciwej nowej Polsce także pamięć o Lemie – jak tyle innych tematów, które dotyczą Peerelu – ulega stopniowo zakłamaniu. A to za sprawą polskich i niepolskich poprawiaczy chwilowo niepoprawnych politycznie życiorysów.

Autorzy pierwszych biografii Mistrza – Wojciech Orliński („Lem. Życie nie z tej ziemi", 2017, 2021) i Agnieszka Gajewska („Stanisław Lem. Wypędzony z Wysokiego Zamku. Biografia", 2021) – nie doceniają tego, że przez wiele lat po wojnie, także wiele lat po 1956 r., był on „wierzącym i praktykującym" marksistą.

Owszem, działo się to już wcześniej, na przykład gdy w 2010 r. inny lemolog Jerzy Jarzębski, komentując „Dialogi" Lema, jednym zdaniem kwitował podobieństwo „Dialogu VII" do „Krótkiego kursu" Józefa Stalina. Liczy się jednak skala i intensywność zjawiska.

Doniosła konieczność eksperymentowania

Orliński grzeszy trojako: przemilcza to, co nie pasuje do jego poglądu, nie rozumie słów Lema i je bagatelizuje.

Przemilczał na przykład wykład materializmu historycznego („histmatu") – czyli marksistowskiej logiki dziejów – z „Dialogów" (tych z 1957 r. i z 1972 r.). Lem przedstawił „histmat" jako szczytowe osiągnięcie nauk społecznych. Rozwój społeczeństw – twierdzi Lem – jest napędzany przez doskonalenie technologii („sił wytwórczych"). W stalinowskim „Krótkim kursie" żarna są przyczyną powstania feudalizmu, a maszyna parowa – kapitalizmu; w „Dialogach" Lema automatyzacja produkcji jest przyczyną powstania socjalizmu i komunizmu.

Lem pisał również, że dostosowaniu sposobu zorganizowania produkcji (w marksistowskim żargonie „bazy") i systemu politycznego, prawnego, kultury itd. („nadbudowy"), do wymogów dalszego rozwoju technologii zwykle służy przemoc. Twierdził, że

podczas budowy podstaw socjalizmu w Polsce niezbędne było użycie siły, usprawiedliwione oporem kapitalistów i ich pomocników. A „jedyny konkurujący dziś z socjalistycznym system, kapitalistyczny, znajduje się bez wątpienia u schyłku swego istnienia".

Orliński ignoruje nie tylko wykład marksizmu z „Dialogów", lecz również opublikowany z okazji kolejnej rocznicy rewolucji październikowej esej Lema z 1967 r. pt. „Wells, LENIN i przyszłość świata". Nie wspomina także o sławnym artykule Stanisława Beresia „Socrealistyczne przypadki Stanisława Lema" z 1990 r.

Orliński nie rozumie słów Lema, kiedy przekonuje, że już w 1956 r. Lem „nie wierzył w sens naprawiania tego systemu", czyli „dwudziestowiecznego leninowskiego wcielenia" socjalizmu. Jest odwrotnie.

Przecież w 1957 r. Lem domagał się doskonalenia socjalizmu. Stalinizm uważał za jedną z wielu możliwych wersji eksperymentu polegającego na budowie socjalistycznego społeczeństwa. Zachęcał do dalszego eksperymentowania, a nie – jak twierdzi Orliński – do zaprzestania eksperymentów. W „Dialogach", słowami swoich bohaterów Filonousa i Hylasa, przekonywał: „Jest rzeczą niesłychanej doniosłości odróżnić niepowodzenie pierwszej próby, jednego eksperymentu na drodze do celu (…), od udowodnienia obiektywnej niemożliwości osiągnięcia tego celu. Z niepowodzenia eksperymentu wynika tylko, że się on nie udał, a nie że osiągnięcie celu innym sposobem, według innego planu, jest wykluczone".

Hylas pyta: „Sądzisz, że właściwe przestrojenie systemu socjalistycznego doprowadzi wreszcie do powstania struktury bliższej naszemu »systemowi idealnemu« (komunizmowi – B.Cz.), czy tak?" Filonous odpowiada: „Uważam, że jest to możliwe, nie wiem jednak, ile jeszcze prób, klęsk, eksperymentów, niepowodzeń, ile lat i wysiłków dzieli nas od tego celu". I w innym miejscu: „Istnieje wiele możliwych wariantów zorganizowania uspołecznionej produkcji (…). Dlatego zachodzi doniosła konieczność eksperymentowania, tj. dokonywania prób, dla wyboru modelu właściwego". Wszystko to Lem powtórzył w rozszerzonym drugim wydaniu Dialogów z 1972 r.

Wreszcie Orliński bagatelizuje inne jeszcze pisma Lema. Komunistyczną propagandę w „Astronautach" usprawiedliwia ni mniej, ni więcej tylko chęcią pisarza zapisania się do Związku Literatów i osiągnięcia związanych z tym korzyści. O „Jachcie »Paradise«" i opowiadaniach z tomu „Sezam" wspomina półgębkiem, tłumacząc, że Lem sam nie wierzył w to, co tam pisał. Podobnie jest z przesyconymi ideologią dwoma ostatnimi tomami „Czasu nieutraconego".

W swojej biografii Lema Orliński bagatelizuje nawet żarliwy pean na cześć komunizmu, czyli „Obłok Magellana" łącznie ze słynnym rozdziałem „Komuniści", o którym twierdzi, że wcale nie jest o komunistach (sic!).

Chwilowe uwiedzenie?

Na tle dokonań Orlińskiego biografia autorstwa Agnieszki Gajewskiej wygląda o wiele poważniej. Niemniej także jej opowieść o trudnym związku Lema z marksizmem wymaga napisania od nowa. Owszem, Gajewska obszernie informuje o zachwalających komunizm pracach Mistrza sprzed 1956 r., a także przywołuje stosowne cytaty, np. z „Dziennika" Jana Józefa Szczepańskiego z listopada 1956 r: „Byłem u Lema. Powiedział: – Rok temu ty byłeś na tych samych pozycjach co teraz, a ja byłem bardzo czerwony. Dziś jesteśmy na tych samych pozycjach".

Kiedy jednak przychodzi do uogólnień, autorka ucieka w ogólniki. Pisze, że chodziło o chwilowe uwiedzenie „socrealizmem" i o bliżej niesprecyzowany „antyimperializm". Jej zdaniem Lem „nie wyrządził swoimi poglądami nikomu krzywdy", bo nie pisał raportów, donosów, „nikt przez niego nie stracił pracy, nikt nie miał z jego powodu nieprzyjemności i pretensji po latach".

Otóż wbrew Gajewskiej, ważne części marksizmu przetrwały u Lema także po 1956 r. Jednym z wielu przykładów jest wspomniany już artykuł z 1967 r. pt. „Wells, LENIN i przyszłość świata". Lem powtarza w nim to, co pisał 10 lat wcześniej w „Dialogach" z 1957, a potem także z 1972.

Jego zdaniem jedyną poważną teorią przemian społeczeństw ludzkich, równie naukową, jak np. astrofizyka i teoria ewolucji, jest materializm historyczny, z jego wizją społeczeństwa komunistycznego jako zwieńczenia rozwoju społecznego.

Przeciwstawia „rozmach myśli" i „realizm" Włodzimierza Lenina „utopistom" w rodzaju Herberta G. Wellsa. Zachwalając rewolucję, krytykuje „pomysł (…) przejścia od formacji kapitalistycznej do stanu kolektywizacji socjalistycznej – drogą łagodnych, powolnych przejść ewolucyjnych". Ani Gajewska, ani Orliński jakoś nie wspominają o tym artykule Lema z „Gazety Krakowskiej", organu Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

To, jak ważny był marksizm dla Lema, uświadomimy sobie, kiedy spojrzymy panoramicznie na całą jego twórczość. W pracach Lema, zgodnie z regułami „histmatu", społeczne przemiany napędza często ewolucja technologii, np. inżynierii genetycznej (czyli, w języku partyjnego aparatczyka z epoki Władysława Gomułki, „postępujący rozwój sił wytwórczych").

Jeszcze na początku XXI w. w „Tako rzecze Lem" pisarz podkreślał, że „technologia jest zmienną niezależną od cywilizacji"; powtarzał w ten sposób myśli z „Dialogów" (żarna były przyczyną powstania feudalizmu, maszyna parowa… itd.). Zapytany o marksizm, co prawda odrzucił dialektykę i cukierkową wizję komunizmu, lecz powstrzymał się od krytyki materializmu historycznego. O wszystkim tym Gajewska i Orliński milczą.

A co sądzić o opinii Gajewskiej, że Lem „nikomu nie szkodził"? Myślę, że czytelnik ma prawo czuć się zażenowany, bo – jak by nie patrzeć – to nie jest poważny argument. Przecież wychwalające komunizm książki Lema (np. płomienny „Obłok Magellana"!) ogromnymi nakładami wsiąkały w Polskę, wpływając na świadomość, życiowe wybory i losy czytelników, w tym bardzo młodych czytelników. Wielki talent pisarza sprawił, że jego słowa były bardziej skuteczne od wysiłków całych komitetów partyjnych. Rozpaczliwie naiwna jest ta Gajewskiej obrona Lema.

Wszystkie te błędy Orlińskiego i Gajewskiej dziwią tym bardziej, że pisząc o stosunku Lema do marksizmu zapewne znali oni już łatwo dostępne i wnikliwe analizy Ebenezera Rojta z internetowego serwisu https://kompromitacje.blogspot.com. Tego samego Ebenezera Rojta, który po ukazaniu się pierwszej książki Gajewskiej o Lemie – „Zagłada i gwiazdy" – tak celnie i bezlitośnie wykpił jej poglądy i który znęca się także nad Orlińskim.

Wygumkowany schyłek kapitalizmu

W zakłamywaniu życiorysu Lema, jak potrafi, pomaga Polakom zagranica. Na przykład w styczniu 2022 r. modny „The New Yorker" opublikował długi esej o Lemie pióra Caleba Craina („A Holocaust Survivor's Hardboiled Science Fiction").

Po lekturze Craina można odnieść wrażenie, że przeżycia w lwowskim getcie wpłynęły na twórczość Lema silniej niż cokolwiek innego. Jest inaczej. To prawda, że tu i ówdzie Lem opisywał egzekucje, stosy trupów i góry ludzkich włosów. A jednak sądzę, że ważniejszy od wspomnień ze Lwowa – które niczym „goście" z planety „Solaris" wracały do niego w niespokojnych snach – był „histmat" i (zwłaszcza!) od dzieciństwa fascynujące go odkrycia i paradoksy nauki. To one przed i po 1956 r. decydowały zarówno o tematyce, jak i o treści jego najważniejszych dzieł.

U Craina też nie znajdziemy śladu informacji, że Lem był „wierzącym i praktykującym" marksistą. O „Astronautach" Crain pisze: „Jeden z krytyków zbeształ Lema za wyobrażanie sobie przyszłości, odległej o zaledwie pięćdziesiąt lat, w której ludzie z jakiegoś powodu nie pozdrawiają się nawzajem słowem »towarzysz«. Lem nie został jednak odwołany za obrazę. Zmieniając gatunki, w jakiś sposób ominął ideologię". Naprawdę, Panie Crain? W „Astronautach" nie ma wiadomej ideologii? A wystarczyło zajrzeć choćby do Wikipedii.

Fot. INTERNET

W innym miejscu Crain pisze (pewnie za Orlińskim, którego biografię Lema bardzo zachwala), że „już w 1956 r. Lem przyznał prywatnie przyjacielowi, iż socjalistyczny eksperyment się nie powiódł". Wyraźnie nie zdaje sobie sprawy, że Lem domagał się wtedy ulepszania socjalizmu, a nie zaniechania socjalistycznych eksperymentów. Wygląda na to, że Crain dość pobieżnie zapoznał się z niedostępnymi po angielsku pismami Lema. Polska język trudna język?

Jest jeszcze ten „drobiazg": w 2021 r. The MIT Press wydał „Dialogi" (Stanisław Lem, „Dialogues", tłumaczenie: Peter Butko, The MIT Press, Cambridge Massachusetts, London). Studiując ten rarytas, uważny czytelnik zauważy zapewne, że – trzeba trafu – kluczowe zdanie o „jedynym konkurującym dziś z socjalizmem systemie, kapitalistycznym, który znajduje się bez wątpienia u schyłku swego istnienia" zniknęło z amerykańskiego wydania. Nie towarzyszy temu żaden komentarz wydawcy lub tłumacza. Cóż, kiedy nie wiadomo, o co chodzi, zapewne chodzi o czyjś interes. Czyj dokładnie? Czy polski Instytut Książki, który pieniędzmi podatników tak szczodrze dofinansował wydanie „Dialogów" przez bardzo sławny i bardzo renomowany The MIT Press, zażąda sprostowania?

Czytając Orlińskiego, Gajewską, Craina i amerykańskie „Dialogues", zastanawiam się, skąd bierze się ta skłonność do poprawiania Lemowego życiorysu.

Ze ślepej sympatii i przemożnej chęci obrony Lema? Mistrz i jego książki nie potrzebują *takiej* obrony.

Z potrzeby posiadania nieskazitelnych autorytetów? Nie istnieją żadne nieskazitelne autorytety.

Z interesu poprawiaczy?

Pewnie z wszystkich tych powodów po trochu.

Jak by nie było, sądzę, że niebagatelne zasługi mają tu również tak zwane wolne media w rodzaju „Gazety Wyborczej", od 1990 r. tresujące Polaków do niechęci wobec Peerelu i wszystkiego, co się z nim kojarzy. Zapewne po dziesięcioleciach tej tresury wielu naiwnym miłośnikom Lema, a nawet jego biografom i czytelnikom trudno jest pogodzić się z myślą, że ktoś taki jak Mistrz przez tyle lat mógł być, za przeproszeniem, marksistą.

BOGUSŁAW CZARNY

eprasa.pl 08b6638fa7

Prenatalna droga przez mękę

Ciąża może być przyczyną wielu groźnych chorób

Ministrze zdrowia Izabeli Leszczynie nie idzie. Nie udało jej się wprowadzić bezreceptowej pigułki „dzień po” nawet dla dorosłych kobiet, kolejki do specjalistów są dużo dłuższe niż za PiS, a w nowotworach robi się stan epidemii. Nie przeszkodziło to jednak odtrąbić wybitnego osiągnięcia resortu zdrowia. Zniesiono barierę 35 lat, po której przekroczeniu kobiety mogą bezpłatnie robić badania prenatalne. Badania, których wykonywanie w Polsce nie ma – według zapisów obowiązującego prawa – najmniejszego sensu.

Wbrew hipokrytom twierdzącym, że testowanie płodu jest po to, żeby go leczyć jeszcze w czasie ciąży, sprawdzania zawartości macicy w całym cywilizowanym świecie dokonuje się głównie po to, żeby macicę opróżnić, gdy wynik okaże się niekorzystny.

W Polsce przerywanie ciąży na okoliczność wady płodu jak było, tak jest niezgodne z prawem. Dlatego sukces ministry Leszczyny jest działaniem absolutnie pozornym. Albo takim, który nagoni pacjentki nadgranicznym klinikom w Niemczech, Czechach i Słowacji. Choć i to nieprawda.

Bezpłatne sprawdzenie stanu płodu od lat w Polsce niemal nie występuje. I to bez względu na wiek ciężarnej. Lepiej wszak, by po ciąży – którą być może trzeba będzie usunąć – nie pozostał ślad w elektronicznej dokumentacji NFZ. Stąd niemal wszystkie badania prenatalne w Polsce robi się dyskretnie, czyli prywatnie. Za test PAPP-A, prywatne przychodnie winszują sobie 600–800 zł. To na początek, bo kolejne badania – amniopunkcja i inne takie – kosztują już od 3 do 4,5 tys. zł.

Jeśli jednak kogoś te koszty przerażają, to nic nie wie o życiu. Wyskakując z około 5 tys. zł na badania prenatalne i wysupłując drugie tyle na klinikę tuż za naszą granicą, można oszczędzić znacznie więcej.

Latorośl z zespołem

Badania prenatalne pozwalają oznaczyć około 60 wad i chorób, z którymi dziecko się urodzi lub które rozwiną się później. Te wady i choroby są nieuleczalne. Można jedynie próbować zwalczać ich objawy. Zwalczać przez 24 godziny na dobę i do końca życia. Dziecka lub swojego.

Najczęstszym zaburzeniem jest zespół Downa. Statystycznie rodzi się z nim jedno na 1000 dzieci. Choroba może mieć przebieg lekki lub wręcz przeciwnie. Jak sama nazwa wskazuje, nie jest to bowiem jedno schorzenie. Ci, których latorośl jest dotknięta tylko niedorozwojem umysłowym, i tak mają najlepiej. Tyle że to margines.

Pojęcie „najlepiej” jest zresztą względne. Skoro dziecko w wieku pięciu lat nie potrafi dobrze mówić, a chodzić nauczyło się trzy lata wcześniej, jedno z rodziców musi rzucić robotę i zostać pielęgniarzem, rehabilitantem i cholera wie czym jeszcze.

Mądrzy ludzie od statystyki wyszacowali, że doprowadzenie w pełni zdrowego dziecka do pełnoletności wiąże się z wpakowaniem weń ok. 350 tys. zł. W przypadku Downa koszty te idą w górę kilkakroć.

Zespół Downa sprawia, że dzieciak jest znacznie bardziej narażony na inne choroby. Zaburzenia metabolizmu, nadczynność tarczycy, kłopoty z sercem i nerkami – to tylko kilka z możliwych przypadłości. Aby szybko je wykryć, niezbędne są badania profilaktyczne; wielu z nich NFZ nie refunduje. Trzeba wydać kolejne setki złotych.

U osób z zespołem Downa występują zazwyczaj wady serca i niedrożność przewodu pokarmowego. Częste są też spodziectwo, celiakia oraz zrośnięcia odbytu. Aby zapobiec wtórnemu upośledzeniu umysłowemu, należy regularnie przeprowadzać badania poziomu hormonu tarczycy.

Dzieci z zespołem Downa, kiedy osiągną wiek przedszkolny i szkolny, w zależności od nasilenia upośledzenia mogą chodzić do przedszkola publicznego (zdarza się to bardzo rzadko), specjalnego lub integracyjnego. Potem do szkoły publicznej (jeszcze rzadziej), specjalnej lub integracyjnej. Jeśli upośledzenie dziecka jest znaczne, trafia ono do szkoły życia. Jeśli dzieci nie zostały przyjęte do przedszkola lub szkoły, rodzicom pozostaje szukanie innej placówki, czasami nawet w odległej miejscowości. W ten sposób koszty opieki rosną.

Do tego doliczyć należy koszt rezygnacji z pracy jednego z małżonków; co najmniej kilka tysięcy złotych miesięcznie. Kolejną pozycją są leki i wizyty u lekarza, i to wcale nie tego leczącego dziecko. Chodzi o pieniądze wydawane na wizyty u psychiatry i na psychotropy.

Najdelikatniejsze obliczenia pokazują, że jeśli nie wykryje się i nie skorzysta z prawa do wyskrobania płodu z Downem, to trzeba się przygotować na to, że koszt pierwszych 18 lat pochłonie niemal 850 tys. zł.

Rys. TOMASZ WIATER

Dusząca beznadzieja

Mukowiscydoza objawia się nieprawidłowym rozwojem komórek w układzie oddechowym i pokarmowym. Rocznie rodzi się z nią w Polsce kilkanaście tysięcy dzieci.

Tu także zdiagnozowanie choroby sprawia, że jedno z rodziców przestaje pracować zawodowo. Opieka nad dzieckiem to zajęcie na całą dobę. Chore dzieci mają rytm dnia zdeterminowany przez chorobę. Rano są inhalacje, które trwają prawie godzinę. Później drenaż, czyli oklepywanie pleców, aby oderwał się od ścianek oskrzeli śluz. Potem śniadanie. Koniecznie pożywne, bo muszą jeść wysokokaloryczne posiłki, aby płuca dobrze pracowały. Leki, znów inhalacje. I tak do wieczora. Dochodzą koszty leków – tylko niektóre są refundowane – inhalatorów, fizjoterapii. Kiedyś dziecko z mukowiscydozą umierało po kilku latach, dziś chorzy dożywają powyżej czterdziestki.

Gdyby od kosztów odjąć radość z obserwowania duszącego się dziecka, to i tak do 18. roku życia nie będą one niższe niż 900 tys. zł.

Ponad sześć tysięcy razy rocznie polscy rodzice słyszą podczas diagnozy słowo „fenyloketonuria”. Schorzenie to polega na tym, że dziecko nie może jeść tego, co jedzą wszyscy. Bo jak będzie jadło, to umrze. Jedynym bowiem znanym na świecie skutecznym sposobem leczenia fenyloketonurii jest stosowanie diety ubogofenyloalaninowej. Z diety chorego dziecka należy wykreślić mleko i produkty mleczne, jaja, ryby, mięso i wędliny, produkty zbożowe, rośliny strączkowe oraz czekoladę. Fenylak może jeść tylko specjalnie przygotowane preparaty lecznicze.

W optymistycznej wersji młodsi pacjenci przyjmują preparat za ok. 150 zł, który starcza na tydzień. W pesymistycznej – za 350 zł na pięć dni. Z innymi produktami dla fenylaków wcale nie jest lepiej. 500 g ryżu niskobiałkowego kosztuje niemal 40 zł, chleb – ponad dychę. Specjalnie przygotowane konserwy to koszt około 35 zł. Fenylak do uzyskania pełnoletności draśnie rodziców na co najmniej bańkę.

W Polsce jeden na 3,5 tys. chłopców rodzi się z mutacją genu powodującą niewytwarzanie białka zwanego dystrofiną. Jego brak prowadzi do niszczenia komórek mięśni. Wszystkich mięśni – tych odpowiedzialnych za chodzenie, utrzymanie prawidłowej sylwetki, oddychanie, bicie serca. Nazywa się to dystrofią mięśniową typu Duchenne’a. Chorobę można opóźnić, ale i tak w końcu wszyscy chorzy trafią na wózki, a potem ich problemy zaczną rosnąć. Najpierw zaczną się kłopoty z chodzeniem, potem z oddychaniem, a w końcu z połykaniem pokarmów.

Kiedyś chłopcy z Duchennem żyli góra kilkanaście lat. Teraz średnia przeżycia określana jest na 28–33 lata, choć lekarze podkreślają, że w miarę rozwoju medycyny może być coraz dłuższa... Koszty to całodobowy nadzór, kupno wózka inwalidzkiego, codzienne rehabilitacje, a w końcu zakup sprzętu ułatwiającego nocne oddychanie. No i świadomość, że będzie tylko gorzej.

W złotówkach nie wygląda to jednak najgorzej. Do 18. roku życia koszt dystrofika nie powinien przekroczyć 750 tys. zł.

Wylewy i płetwy

Hemofilia to niedostateczna krzepliwość krwi obciążająca 3,5 tys. noworodków – jest ściśle powiązana z płcią. Jeśli rodzi się córka, będzie tylko nosicielką. Jeśli syn – zachoruje.

Wtedy rodziców czekają intensywne doznania. Choćby masywny wylew do kanału rdzenia kręgowego. Jak się będzie miało pecha i lekarz źle obliczy lek na krzepnięcie, to kończy się to paraliżem.

Wylewy do stawów są najczęstszym powikłaniem hemofilii. Pojawiają się, gdy chłopiec zaczyna raczkować i chodzić. W ciągu roku dochodzi do 40 wylewów. 10-latek ma za sobą już ok. 400 takich zdarzeń. Są one nie tylko bardzo bolesne, ale prowadzą do zniszczenia i zwyrodnienia stawów. Stawy chorych po trzydziestce mają lat 70. Stąd nie dziwota, że wielu mężczyzn z hemofilią porusza się na wózkach inwalidzkich, przy pomocy kul, bądź stabilizatorów.

To jednak wydatki dla dorosłych. Mali hemofilicy generują mniejsze koszty. Szmal idzie głównie na igły, płyny odkażające i gaziki. Miesięcznie daje to ok. 700 zł. Nie trzeba chyba dodawać, że artykuły medyczne tego typu nie są refundowane.

Przez pierwszych 18 lat życia synek hemofilityk wyciągnie z rodziców co najmniej 700 tys. zł.

Jeśli ktoś w swoim genetycznym pechu może mówić o szczęściu, to posiadacze córeczek z zespołem Turnera. Co prawda dziewczynki będą karliczkami z płetwiastą skórą po obu stronach szyi, nie zarosną im włosami pachy ani wzgórki łonowe – ale za to niedorozwinięta pochwa i macica skutecznie ochronią je od niepożądanej ciąży. Poza tym wszystko tak jak przy zdrowym dziecku.

Nie najgorsze rokowania finansowe rodzi też potomstwo z zespołem Edwardsa. Ma co prawda szeroko rozstawione oczy i często opadającą górną powiekę, zaś w czaszce stwierdza się cystę splotu naczyniówkowego, czyli zbiorniczek z płynem. Poza tym zaburzone są funkcje wielu układów m.in. oddechowego i krążenia, częste są wady serca, przepuklina pępkowa i pachwinowa, a u chłopców niezstąpienie jąder. Dziecko na ogół nie jest w stanie samo jeść, dlatego musi być karmione sondą.

Nie trwa to jednak długo. Dotknięte schorzeniem dzieci rzadko przeżywają ponad sześć miesięcy. Jedyne zaś koszty ograniczają się do siedzenia z nim w szpitalu.

U dzieci dotkniętych zespołem Pataua uszkodzeniu ulegają układ nerwowy oraz układ krążenia. Występuje wada przegrody międzykomorowej i międzyprzedsionkowej, a także położenie serca po prawej stronie klatki piersiowej. Często nie dochodzi także do pełnego podziału mózgu na lewą i prawą półkulę. W przeciwieństwie do edwardsowców, dzieci z Patauem umierają dopiero w wieku kilku lat. Tych kilka lat może wygenerować koszty rzędu ćwierć bańki.

To jednak nie wszystko. Są też inne minusy posiadania takiego dziecka. Najważniejszy jest taki, że jeśli w rodzinie są i inne latorośle, to mają niefajnie. Nikt nie ma czasu zająć się nimi na tyle, by czuły się jak ich rówieśnicy. Zwłaszcza że w 40 proc. przypadków, oprócz radości z rodzeństwa specjalnej troski, będą się wychowywały bez tatusia. Bo tatusiowie, będąc istotami wrażliwszymi, nie dają sobie rady w takich sytuacjach i znikają.

Życie bez męża, bez kasy, z nieszczęśliwymi dziećmi to kara za to, że nie chciało się wysupłać paru tysięcy na badanie prenatalne. Alternatywnie, dzięki ministrze Leszczynie, można zrobić je bezpłatnie w ramach NFZ – aby potem pozbyć się problemu za granicą. Kontakt z prokuratorem dostajemy w promocji.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Katolicka diecezja w Portsmouth na południu Anglii poinformowała, że wysłannik boski do spraw bezpieczeństwa wieczystego, 60-letni polski egzorcysta ksiądz Piotr G., został oskarżony o popełnienie 10 przestępstw natury seksualnej wobec osoby małoletniej – osiem dotyczyło czynów nierządnych, dwa – ataków natury seksualnej. Klecha nie przyznał się do winy. Przebywa na zwolnieniu warunkowym. Zarzuty postawione duchownemu dotyczą okresu, gdy pełnił posługę duszpasterską na wyspie Jersey i obejmują lata 2002–2008. Diecezja współpracuje w tej sprawie z policją, a także uruchomiła procedurę, która ma na celu zidentyfikowanie potencjalnych ofiar i udzielenie im pomocy. Ksiądz G. początkowo był kapłanem w Szczecinie, następnie wyjechał do Wielkiej Brytanii. Był znanym rekolekcjonistą, prowadził również konferencje oraz głosił kazania. Często wypowiadał się w mediach na tematy związane z wiarą katolicką. Przez blisko 10 lat zajmował się egzorcyzmami. 15 października 2016 roku na błoniach jasnogórskich w czasie Wielkiej Pokuty w obecności ponad 100 tys. wiernych odmówił modlitwę o uwolnienie Polski spod mocy ciemności.

✚ Jak przekazał Leszek Gęsiak SJ, rzecznik Konferencji Episkopatu Polski, na wniosek biskupa diecezji warszawsko-praskiej ksiądz Marcin Iżycki został zawieszony w pełnieniu funkcji dyrektora Caritas Polska. Rzecznik KEP podkreślił, że decyzja „nie jest związana z działalnością Caritasu Polska”. Kuria poinformowała o sprawie „kompetentne organy i zapewnia o pełnej współpracy z nimi, jednak dla dobra prowadzonego postępowania powstrzymuje się od komentowania sprawy”. Jeśli kuria powiadamia służby zamiast zwyczajowo zamieść sprawę pod dywan, wnioskujemy, że kaliber przewin księdza Iżyckiego musi być wielki jak sanktuarium w Licheniu.

✚ Najjjka czyli Natalia Ruś, topowa katolicka influencerka, znana jako pierwsza dziewica RP, znów wyprowadziła z równowagi przedstawiciela Kościoła. W jednym z opublikowanych materiałów odniosła się do kwestii łóżkowych figli w czasie ciąży i grzechu. „Modernistyczni księża ci tego nie powiedzą: nie można uprawiać seksu w trakcie ciąży, bo jest to zagrożeniem duchowym dla dziecka” – przekazała. W krótkim wideo do jej słów odniósł się ksiądz Sebastian Picur, który również jest aktywny w mediach społecznościowych: „Jeśli chodzi o małżonków sakramentalnych, to współżycie w czasie ciąży nie jest grzechem. Oczywiście, gdy pojawią się komplikacje, to dla dobra matki i dziecka należy się powstrzymać. Natomiast, gdy wszystko przebiega bez problemów, to małżonkowie nie muszą się z tego spowiadać”. Z niecierpliwością czekamy, aż do tego grona znamienitych ekspertów od seksu i ciąży dołączą biała gołębica i gorejący krzew.

✚ Na fali zdobywającego popularność w kraju fentanylu postanowił wypłynąć ze swoimi wynurzeniami członek zarządu Klubu Jagiellońskiego Konstanty Pilawa, który w felietonie dla katolickiego portalu Stacja 7, podzielił się z czytelnikami wyjętymi gdzieś z okolic okrężnicy wynurzeniami na temat nowego boomu narkotykowego. „Przecież wszyscy funkcjonujemy w świecie, który mami nas obietnicą, że na każdą dolegliwość znajdzie się tabletka, a na każdy problem specjalista, każda choroba zostanie w przyszłości pokonana i w końcu zrealizujemy wielkie marzenie o pokonaniu największego wroga – śmierci. Chrystus jest wielką odtrutką na tego typu myślenie. (…) Czasem, gdy nie ma już innego wyjścia, Bóg używa cierpienia jako narzędzia, aby rozbić mur naszego egocentryzmu.” Po czytaniu banialuków Pilawy przydałaby się tabletka na mdłości.

KLECHA

Wieści na użytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 08b6638fa7

Nic się nie stało

Polacy odpadli z turnieju Euro 2024 jako pierwszy z zespołów. Czy może być „jeszcze lepiej”?

Od dawna piszę źle o polskiej piłce. Każda dyscyplina przypomina nieco piramidę. U szerokiej podstawy jest wybieranie najzdolniejszych dzieci i stopniowe wdrażanie ich do treningu. Później obrys piramidy stopniowo się zawęża: są kluby, różne poziomy rozgrywek ligowych itd. Wreszcie na szczycie piramidy mamy seniorską reprezentację kraju, która powinna być naszą dumą i chwałą.

Działacze muszą czuwać, żeby wszystkie wspomniane elementy funkcjonowały dobrze i spełniały swoją rolę. Tymczasem w polskiej piłce prawidłowo nie działa nic.

Kasa do małego

Zacznijmy od szkolenia dzieci. W podwarszawskiej miejscowości, w której mieszkam, działają dwie znane szkółki piłkarskie. Ile jest tych mniej znanych – nie wiem. Rozmawiam z sąsiadami, jak każdy. Znam więc rodziców niektórych uczniów tych szkółek. Oni są generalnie zadowoleni, bo mogą spełniać marzenia swoich pociech; każdy rodzic tego chce. W dodatku liczą na to, że trenujący młody człowiek nie będzie sięgać po wszelkiego rodzaju używki. Nikt otwarcie się do tego nie przyzna, ale być może rodzicom świta gdzieś w głowie, że może kiedyś ich syn będzie niczym Robert Lewandowski czy Wojciech Szczęsny, i jego konto w banku zacznie puchnąć do gigantycznych rozmiarów.

Za marzenia trzeba jednak płacić. Więc rodzice płacą. Im dłużej przyglądam się tym szkółkom, tym bardziej nabieram przekonania, że główną troską ich właścicieli jest pobieranie opłat. Dobrze jest zatrudnić jakiegoś znanego kiedyś futbolistę, bo działać on będzie jak magnes przyciągający chłopców, a za nimi gotówkę ich rodziców.

Zapewne krzywdzę w tym momencie uczciwych ludzi, bo są szkółki pracujące właściwie, prowadzone przez prawdziwych zapaleńców – ale jakoś takiej nie poznałem. Wiem natomiast, że do zaprzyjaźnionego hotelu, w którym często bywam, przyjeżdżały na obozy grupy młodych piłkarzy. Z ciekawości sprawdziłem w internecie, ile kosztuje tam pobyt – i cena lekko mnie zszokowała. Początkowo wszyscy byli zadowoleni: i właściciele hotelu, i dzieciaki. Po kilku turnusach szkółka zniknęła, zostawiając za sobą niezapłacone rachunki…

Co się dzieje w polskich ligowych klubach opisuje najlepiej ranking UEFA. Ekstraklasa spadła w rankingu z 20. na 21. miejsce.

Podczas Euro 2024 fascynują nas młodziutcy piłkarze, którzy w swoich silnych reprezentacjach grają czołowe role. Hiszpan Lamine Yamal z FC Barcelona ma 16 lat. Gruzin Gabriel Sigua ukończył lat 19, a jego reprezentacja sprawiła największą niespodziankę fazy eliminacyjnej, awansując do strefy play-off. Nie jestem pewien, czy dokładnie policzyłem, z matematyką miałem kłopoty od podstawówki, ale chyba 13 uczestników finałów mistrzostw Europy jest jeszcze nastolatkami. Anglik Jude Bellingham z Realu Madryt, podstawowy zawodnik swojej reprezentacji, ma 21 lat i w tym towarzystwie może uchodzić za podstarzałego.

W gronie nastolatków mamy Polaka. 19-letni Kacper Urbański jest tym zawodnikiem, do którego możemy mieć relatywnie najmniej pretensji o grę w Niemczech. Inna sprawa, że trener Michał Probierz nie zawsze widzi go w podstawowym składzie. Ale o trenerze naszej kadry zdążę jeszcze kilka przykrych słów napisać.

W każdym razie Kacper Urbański jest tym wyjątkiem, który potwierdza regułę o złym szkoleniu polskich młodych zawodników. Wychowany w gdańskiej Lechii trafił do Bolonii. FC Bologna to klub z wielkimi tradycjami, ale niewielkimi sukcesami. Tymczasem w zakończonym sezonie okazał się rewelacją włoskiej ligi. Niespodziewanie trafił do fazy grupowej Ligi Mistrzów.

Oglądałem wiele meczów Serie A. Bramkarz Łukasz Skorupski spisuje się w FC Bologna świetnie. Kacper Urbański nie zawsze wychodził na boisko w pierwszej jedenastce, ale jeśli wchodził, dawał bardzo dużo swojej drużynie.

Solidna akademia przy ligowym klubie powinna wychowywać dobrych młodych piłkarzy. Niezłe akademie działają przy Zagłębiu Lubin, Lechu Poznań, Pogoni Szczecin, Legii Warszawa i właśnie przy pierwszym klubie Kacpra Urbańskiego – Lechii Gdańsk.

Rys. TOMASZ WIATER

Marzeniem działaczy jest tych młodych ludzi, którzy nauczyli się podstaw piłkarskiego rzemiosła, sprzedać za granicę, a co z nimi będzie dalej, mniej ich obchodzi.

Najlepsi raczej nie trafiają do polskich klubów. Do Ekstraklasy przychodzą zawodnicy z trzecich lig Portugalii, Hiszpanii, krajów bałkańskich i brylują na naszych boiskach.

Honor od Francji

A może ja bezpodstawnie czepiam się polskich piłkarzy? Przecież zremisowali „mecz o honor” z niezwyciężoną – wydawałoby się – reprezentacją Francji i w ogóle pokazali ambitną, odważną postawę. A że jako pierwszy zespół musieli pożegnać się z mistrzostwami? No cóż, niefart, trafili na „grupę śmierci”.

Jedenastki Francji, Austrii i Holandii to była ta grupa śmierci? Dla naszych orłów grupa śmierci była już w eliminacjach do mistrzostw. Wydawało się, że losowanie ułożyło się po naszej myśli: Czechy, Albania, Mołdawia, Wyspy Owcze. Czy można sobie wyobrazić łatwiejszych rywali do ogrania? (żaden z nich podczas Euro nie awansował do strefy play-off). Okazało się, że dla polskich piłkarzy byli za mocni. Nasi zajęli w grupie trzecie miejsce i do finałów w Niemczech awansowali dopiero przez baraże, czyli trochę jakby tylnymi drzwiami.

Remis z Francją podczas Euro obwieszczono w naszym kraju jako sukces. Mimo późnej pory sporo kibiców omamionych komentarzami telewizyjnych sprawozdawców przyszło na lotnisko, przywitać naszą reprezentację i podziękować jej za występ. W prasie także można było przeczytać niemało pozytywnych recenzji.

Czy remis z reprezentacją Francji to rzeczywiście taki wielki sukces, jak próbuje się nam wmówić? Owszem, Francja to bardzo utytułowana drużyna, mająca w składzie chyba najlepszego obecnie na świecie zawodnika Kyliana Mbappé. Coś się jednak złego stało z tym naszpikowanym gwiazdami zespołem. I to nie po raz pierwszy.

Przypomnijmy sobie mistrzostwa świata w RPA w roku 2010. Francja jechała na nie nie tylko jako faworyt, ale także jako wzór wielokulturowości, potrafiącej stworzyć zgrany kolektyw. Na miejscu doszło do afery. Nicolas Anelka obraził trenera Raymonda Domenecha, ten wyrzucił go z kadry, ale piłkarze stanęli po stronie kolegi i nie wyszli na zajęcia. Sportowo Mundial zakończył się dla Francuzów fatalnie, nie awansowali z grupy eliminacyjnej. O ile pamiętam, francuska federacja piłkarska ukarała drużynę w ten sposób, że powrotne bilety lotnicze w business class zamieniła im na klasę turystyczną. Pozbawić premii nie mogła, bo premie piłkarze mieli obiecane dopiero po wyjściu z grupy eliminacyjnej, co przed turniejem wydawało się pewne.

Piekło rozpętało się we Francji. Wzór godnego współżycia Francuzów różnego pochodzenia i innego koloru skóry rozleciał się w cholerę na oczach społeczeństwa. Zamiast gromadzić ludzi wokół szczytnych ideałów – wywołał rasistowską burzę. Czarnoskórych piłkarzy, wywodzących się często z podmiejskich imigranckich gett, oskarżono o przenoszenie swoich paskudnych obyczajów do zdrowej francuskiej białej społeczności.

Rasistowskie nastroje zaczęły zresztą narastać już podczas trwania mistrzostw w RPA. Kibice wygwizdywali swoją drużynę, a czerwona kartka, którą zobaczył od sędziego Joann Gourcuff (algierskiego pochodzenia), wzbudziła prawdziwy entuzjazm na trybunie zajmowanej przez ludzi z trójkolorowymi flagami. Podobnie cieszono się tam z goli rywali.

Budowana przez lata wielokulturowa drużyna stała się karykaturą samej siebie, odsunęli się od niej sponsorzy. Niektórzy piłkarze zakończyli kariery, a jeszcze długo federacja spotykała się z zarzutami, że powołuje do reprezentacji zbyt mało białoskórych zawodników, albo, że są wśród graczy tacy, co nie chcą nawet głośno śpiewać Marsylianki.

Dobre słowo od Probierza

Zupełnie na marginesie. Matty Cash nauczył się śpiewać Mazurka Dąbrowskiego, choć po polsku nie umie ani słowa. Dlaczego trener Michał Probierz nie powołał prawoskrzydłowego czołowej drużyny Premier League, uczestnika przyszłej Ligi Mistrzów do kadry, pozostanie jego tajemnicą.

W grupie eliminacyjnej Euro 2024 Francuzi nie strzelili ani jednej bramki po przeprowadzonej przez siebie akcji. Jednego gola zdobyli z rzutu karnego i jednego wbili za nich Austriacy do własnej bramki. Trener Didier Dechamps, który jako zawodnik zdobywał i mistrzostwo świata, i mistrzostwo Europy, prowadzi „Les Bleus” od 2012 r., jak dotychczas z sukcesami. Teraz wygląda trochę bezradnie, jakby stracił kontrolę nad zespołem

Co tam się dzieje? Kto wie, czy nie powracają do wielonarodowej drużyny rasistowskie nastroje. Oczywiście nie przejawiają się w tym, że piłkarz malijskiego pochodzenia Ousmane Dembélé za rzadko podaje piłkę do Kyliana Mbappé (kameruńsko-algierskiego pochodzenia) albo do Antoine’a Griezmanna, Francuza z przodkami niemieckimi i portugalskimi. Nie o to chodzi.

W trakcie trwania mistrzostw Europy prezydent Francji Emmanuel Macron ogłosił przedterminowe wybory, po których skrajna, nacjonalistyczna prawica ma szanse zdobycia przewagi w parlamencie. Piłkarze nie mogą być obojętni na to, co dzieje się w ich kraju. Mbappé wprost zaapelował w mediach do rodaków, zwłaszcza młodych, żeby nie pozwolili antyimigranckiej partii, faktycznie kierowanej przez Marine Le Pen, dojść do władzy.

Oczywiście natychmiast podniosły się głosy, że piłkarz nie ma prawa zabierać głosu na takie tematy. Jego robota, to kopać futbolówkę. Obrońcy genialnego napastnika odpowiedzieli, że sportowcy są takimi samymi obywatelami, jak wszyscy inni, i mają takie same prawa, również do interesowania się polityką. Ta dyskusja nie może dobrze wpływać na nastroje w ekipie francuskiej, ale to jej zmartwienie. My mamy swoje, które postarałem się wcześniej opisać. O reprezentacji Francji wspomniałem głównie dlatego, że na jej remisie 1:1 z Polską próbuje się budować mit założycielski odnowionej drużyny Michała Probierza.

Prawdę mówiąc, miałem zamiar na dłuższy czas dać sobie spokój z pisaniem o polskim futbolu. Jaki jest, każdy widzi, a kto miał jeszcze jakieś wątpliwości, przekonał się podczas mistrzostw Europy. Swoje żale musiałem jednak przelać na papier po wypowiedzi eleganckiego szkoleniowca polskiej reprezentacji.

Nie mnie oceniać jego warsztat trenerski. Jedno mogę powiedzieć na pewno. Jest mistrzem public relations, a na tym trochę się znam, bo przez jakiś czas działałem w tej branży.

Przed odlotem reprezentacji z mistrzostw Europy – a, przypomnę, odpadła z turnieju jako pierwsza spośród wszystkich – Michał Probierz udzielił wywiadu, w którym obwieścił, że zostaje na stanowisku, a prowadzona przez niego drużyna grać będzie „jeszcze lepiej”. Czy słowo „jeszcze” zaplątało się do wypowiedzi przez pomyłkę, czy naprawdę Probierz tak uważa? Obawiam się tego drugiego.

Dlatego musiałem o tym wszystkim napisać.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji,
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor prowadzący,
Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP.

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 3.07.2024 r.**

eprasa.pl 08b6638fa7

ŚŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Paulinka ma pięć lat i kręcone włosy. Nie żeby niedosłyszała… Może najwyżej lekko niedowidzi. Idzie Paulinka przez las i liże lizaka. W koszyczku ma dla babci lekarstwa i łakocie. Słońce świeci, a drzewa szumią tak:

„Lepiej się utopić w morzu,
niż z Horałą zgrzeszyć w zbożu”.

Paulinka nie bardzo wie, co to znaczy zgrzeszyć, ale dobrze wie, że Polska, Polski, Polsce, Polską, o, Polsko!

Na gałęzi przysiada drozd. Śpiewa:

„Lepiej sczeznąć w rabarbarze,
niż z Horałą chodzić w parze”.

Paulinka tupie nóżką. Przecież wie, co chce zrobić, bo nie jest niemądra. Czyżby? – zdaje się pytać puchacz, który huczy:

„Lepiej z gównem się całować,
niż z Horałą współpracować”.

O nie, tego już za wiele, myśli Paulinka. Gdyby miała procę, już by się z tymi wszystkimi ptaszyskami rozprawiła.

Kica zajączek. Na widok Paulinki robi słupek i piszczy:

„Lepiej w Sztumie pierdzieć karę,
niż z Horałą tworzyć parę”.

Gdy z chmury zaczyna padać deszcz, krople szemrzą:

„Lepiej z dziwką zramolałą,
niż pokładać się z Horałą”.

Paulinka zatyka uszy. Co z tym Horałą?! Przecież dobre dziewczynki nie odrzucają niczyjej przyjaźni. Ej, na pewno? – pyta wiatr i wieje:

„Lepiej się pierdolić z jeżem,
niż Horałę mieć w barterze”.

Z zagajnika wychodzi leśniczy. Ostrzega:

„Lepiej się pierdolnąć w banię,
niż z Horałą zasnąć w sianie”.

Paulinka wzrusza ramionkami. Idzie dalej, myśli dużo o Polsce i trochę o babci. Nagle zza krzaków wypada wilk, który wygląda jak Horała i warczy:

„Lepiej się nie zmieścić w pale,
niż postawić się Horale”.

Potem Horała zjada Paulinkę na śniadanie. Leśniczy jej nie ratuje, bo już go nie ma. Niedawno ją ostrzegł, lecz ona nie posłuchała.

Horale burczy w brzuchu:

„Dobrze pyszne jeść kamyki
i z dziewczątka smakołyki”.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN i **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** wspominają Waldemara Kuchannego. I Adama Mickiewicza.

Senyszyn: – Waldek i „NIE” byli dla siebie stworzeni. Byli jak sąsiadujące ze sobą puzzle na antyklerykalnej planszy Polski.

Wołk-Łaniewska: – Powiedzmy sobie szczerze: plansza jest niewielka. Wszyscy ze sobą sąsiadujemy. Ale rzeczywiście, Waldek był na niej wyróżniającym się kawałkiem układanki.

– Na spotkaniach ateistów często występował w ubiorze księdza i wygłaszał istne kazania.

– Taaa… I najpierw prowokował słuchaczy do religianckich okrzyków, a potem ich za to opierdalał. Wredny był ździebeńko.

– Złośliwość uważał za cnotę.

– Bo to w sumie jest cnota, nie?

– Zwłaszcza w naszym zatęchłym klimacie.

– Waldek był pięknie bezwzględny w swojej nietolerancji wobec bigoterii i zabobonu. Jakoś trudno uwierzyć, że już nigdy nie założy sutanny i nie odstawi księdza Waldemara. Chyba już zawsze, kiedy zobaczę jakiegoś przemądrzałego katabasa w telewizji, będzie mi się przypominał nasz wredny naczelny w czarnej sukience… À propos: oglądałam ostatnio w TVN24 księdza Kobylińskiego. To taki etatowy sutannowy liberał, który chodzi po mainstreamowych mediach i głosi bluźnierstwa.

– I jakie ogłosił tym razem?

– Że nauka religii to nie to samo, co katecheza i ta ostatnia powinna odbywać się w salkach katechetycznych.

– Odważnie, jak na księdza.

– Ale zaraz po tym strzelistym akcie niezależności dodał, że bez wizyt w salkach „ofiarami będą młodzi”, bo „będzie poszerzał się analfabetyzm religijny” i „to jest pytanie do dorosłych: kogo my chcemy mieć, jeśli chodzi o nasze dzieci czy wnuki”.

– No i jakich dzieci i wnuków życzy sobie ksiądz Kobyliński?

– Religijnych, oczywiście…

– Zgodnie z zasadą: „mój dziadek był księdzem, mój ojciec był księdzem, ja jestem księdzem i moje dzieci będą księżmi”?

– O własnych dzieciach jakoś nie wspomniał, ale w temacie cudzych miał wiele do powiedzenia. „Czy za 20–30 lat bez religii nasze społeczeństwo będzie lepsze, czy gorsze? Czy będzie więcej egoizmu, czy będzie więcej altruizmu”…

– Ateiści, jak wskazują liczne badania, są altruistami w znacznie większym stopniu, niż dewoci.

– Na badania ksiądz Kobyliński się nie powoływał, za to wydłubał odwieczny argument: „Kto, panie redaktorze, kromkę chleba czy szklankę wody nam poda, kiedy będziemy umierać”… Zawsze mi się w tym momencie mem przypomina. Kobita mówi: „Szukam kogoś, kto mi poda szklankę wina na starość”. Facet: „Szklankę wody chyba?”. Kobita: „To jednak nie pan”…

– W pełni się utożsamiam z jej postawą, choć na łożu śmierci niekoniecznie chce się ludziom pić cokolwiek i wtedy uświadamiają sobie gorzką prawdę, że niepotrzebnie całe życie poświęcali się dla dzieci.

– My się na szczęście nie poświęcamy. Wracając do religii: niezwykle ucieszyła mnie koncepcja, że trzeba ją przenieść na pierwszą lub ostatnią lekcję, gdyż – uważasz – młodzież, która chodzi na religię, jest stygmatyzowana i poddawana drwinom rówieśniczym, więc trzeba jej pozwolić chodzić dyskretnie, tak, żeby się koledzy nie dowiedzieli. Jak to mówi księga Ozeasza? Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę…

– Tu akurat bardziej pasowałoby: nosił wilk razy kilka…

– Ponieśli i wołka.

– Ale skoro już jesteśmy przy młodzieży chowaniu: jest wreszcie, długo wyczekiwany, nowy zestaw lektur. Dość szokujący: np. z „Pana Tadeusza” jest obowiązkowo połowa, czyli sześć ksiąg. No to chyba albo wcale, albo wszystko. Wyobraź sobie, że w szkole będą czytać tylko pierwszą połowę wiersza Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej „Miłość”: „Nie widziałam cię już od miesiąca. I nic. Jestem może bledsza”. A jak tylko drugą połowę, to będzie „trochę śpiąca, trochę bardziej milcząca, lecz widać można żyć bez powietrza!”.

– Obie połowy bym sobie darowała, szczerze mówiąc. Nie przepadam za wierszami o miłości.

– A za jakimi przepadasz?

– O rewolucji oczywiście. „Pędzi pociąg historii, błyska stulecie-semafor. Rewolucji nie trzeba glorii, nie trzeba szumnych metafor. Potrzebny jest Maszynista, którym jest On: towarzysz, wódz, komunista”…

– „Stalin – słowo jak dzwon!”...

– No widzisz? Tutaj nawet na rzeczy byłoby nie podawać młodzieży całości. Nawiasem mówiąc, spędziłam urlop na czytaniu książek o Stalinie. Jedną z nich, znakomitą biografię autorstwa Simona Montefiore – który, jak samo nazwisko wskazuje, jest brytyjskim historykiem – kupiłam na anglojęzycznej stronie eBooks.com. Zaglądam ostatnio do poczty, a tam mail od eBooksa: „Did you enjoy Stalin?”. „Enjoy” i „Stalin” w jednym zdaniu, to rzadko się zdarza… Wracając do Mickiewicza: moim zdaniem, im mniej tej ramoty, tym lepiej. „Siedzą wkoło wody, jak czarownic kupa grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa”… Wieszcz, taka jego mać.

– Czytanie „Pana Tadeusza” pamiętam jako katorgę, ale jak byłam koło trzydziestki, znalazłam tam parę nawet dowcipnych sformułowań. O wojszczance pisał: „panna nie nadto młoda, już pono pół-wieczna, lecz gospodyni dobra, osoba stateczna”… Dziś nikt by o tobie trafniej nie napisał.

– No bardzo ci dziękuję. Może półwieczna jestem, może i panna, ale stateczna?!

– To rzeczywiście do ciebie nie pasuje. Ale posłuchaj, jakie erotyczne skojarzenia miał Mickiewicz z gwiazdami: „Nieco wyżej Dawida wóz, gotów do jazdy, długi dyszel kieruje do polarnej gwiazdy”…

– To wszystko przez Marylę, co go nie chciała. Jakby się nie wydała za hrabiego Puttkamera, to Adaś nie musiałby mieć wzwodu do nocnego nieba.

– Miał też Mickiewicz, o czym w szkole nie uczą, ciekawe spostrzeżenia, które by się nie spodobały obecnej władzy, tak popierającej kapitalizm: „Pomoc, której kapitaliści użyczają klasie robotniczej, należy uważać za ustępstwo wydarte egoizmowi przez postęp ludzkości, a nie za akcję płynącą z miłości chrześcijańskiej”. A klerowi utyskującemu na pustoszejące kościoły warto przypomnieć słowa wieszcza: „Księża i prałaci (...) Nie mówcie, że ludy was opuszczają; to wy je opuściliście”.

– I jeszcze: „Lud, który walczy o swoją niepodległość albo o rozszerzenie swoich swobód powinien nie ufać wysokim dostojnikom Kościoła”.

– Niskim też nie, ale racja, że chrześcijańska ryba psuje się od głowy.

– I na koniec: pożegnanie Waldka będzie we wtorek 9 lipca o 10 rano w tzw. domu przedpogrzebowym na wojskowych Powązkach. Towarzysze Czytelnicy! Przyjdźcie pożegnać go z nami. Gwarantujemy nieobecność księży: tych wysokich i tych niskich.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

lustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 305

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 08b6638fa7